

Rozmowa z Mają Komorowską str. 10

O ochronie zabytków pisze Ireneusz J. Kamiński str. 3

Kammena

LUBLIN 23 XI 1980 NR 24 (718)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

CENA 3 ZŁ



EWA POBŁOCKA: Wszelka wirtuozeria budzi moją nieufność. Największe prawdy zawsze wyrażane były w sposób prosty (patrz str. 2)

Fot. K. Lopińska

150 ROCZNICA POWSTANIA LISTOPADOWEGO

W Lubelskiem⁽¹⁾

Jan Skarbek

POWSTANIE listopadowe, z różnych racji, podobnie jak i inne zrywy niepodległościowe, zawsze budziło żywe zainteresowania społeczeństwa. Niezależnie od pytań o celowość powstania nasz stosunek do tych wydarzeń kształtowały zarówno gorczy przegranej, jak i świadomość ogromnego wysiłku narodu, a także utraconej państwowości.

Spośród wszystkich naszych wystąpień przeciwko zaborcom w XIX wieku tylko powstanie 29 listopada 1830 roku, największą naszą rozprawę orężną z ciałem, rozpoczynaliśmy we względnie korzystnych warunkach. Posiadaliśmy, o czym nie zawsze dziś pamiętamy, własne

państwo — Królestwo Polskie — i konstytucję, budzącą uznanie w kołach liberalnych Europy. Mieliśmy regularną, choć szczupłą, ale za to świetnie wyszkoloną prawie 30 tys. armię. Powszechnie uważano ją za jedną z najlepszych w Europie. Dysponowaliśmy także zasobnym skarbem i sprawną na ogół administracją.

Sam jednak moment wybuchu, wypadkowa różnych czynników zewnętrznych i wewnętrznych, kontrowersyjny od ponad pół wieku w badaniach historycznych, zaskakując cały kraj, którego w przeciwieństwie do innych powstań nie trzeba było wyzwalać spod nieprzyjaciela w ciężkich walkach (jak np. w 1794 r.), przyszedł nie w porę z racji

przygotowań wojennych przeciwnika, w związku z zamierzoną interwencją na zachodzie Europy. Zniknął zatem istotny atut, jaki zawsze stanowi moment zaskoczenia wroga.

Zanim jednak doszło do zmagania wojennych w kraju, przez dwa miesiące na przełomie jesieni i zimy ścierały się w społeczeństwie, czasami w ostrej formie, przeciwstawne tendencje — rokowania czy wojna. Dylemat ten — w toku wewnętrznych walk ugrupowań politycznych, w zażartych polemikach ponad 20 organów prasowych, w których zaznaczył swój udział i „Kurier

Dokończenie na str. 4

W sprawie inflacji

Michał Zieliński

LEKROC słyszę termin inflacja, przypomina mi się anegdota. Otóż młody i pełen narodowej dumy przewodnik oprowadził wycieczkę zagraniczną. Wkładal w pracę wiele serca i wyraźnie było widać, że piękno Wawelu, Ojcowa, Wilanowa etc. nie pozostanie bez śladu w pamięci gości. Jedno tylko maciło spokój przewodnika: co pewien czas pomiędzy zabytkami trafiał się mocno pijany, wypoczywający na łonie natury rodak. Chcąc zatrześć niemile wrażenie, przewodnik w pewnym momencie powiedział: A zjawisko alkoholizmu, proszę państwa, to u nas w ogóle nie występuje.

Skojarzenie tej anegdotki ze zjawiskiem inflacji jest oczywiste. Inflacja była tym, czego u nas nie było. Z największym trudem słowo to można było spotkać w publicystyce ekonomicznej. Również w tzw. pracach poważnych najczęściej zastępowano je przez: lukę inflacyjną, nierównowagę rynkową, tendencję inflacyjną itd. To wszystko dotyczyło oczywiście naszej gospodarki, gdzie indziej bowiem potrafiliśmy dostrzec i skomentować każde najdrobniejsze ruchy cen. Gdyby w oparciu o komentarze prasowe i telewizyjne podjąć próbę definicji inflacji, to musiałaby ona brzmieć następująco: Jest to nie występujące w Polsce, a będące prawdziwą zmartwą dla mieszkańców krajów kapitalistycznych zjawisko, polegające na występowaniu nadwyżki dochodów pieniężnych nad wartością podaży, co prowadzi do stałej tendencji znacznego wzrostu cen.

Ale skończmy karty, skoro sprawa jest poważna. Spróbujmy zastanowić się nad tym, czym w rzeczy samej jest inflacja, jakie są jej przyczyny i konsekwencje, jaką specyfikę ma ona w Polsce i co należałoby czynić, aby zredukować społeczne jej skutki.

Na wstępie zaznaczyć trzeba, że sytuacja, w której dochody pieniężne przewyższają wartość podaży, może, ale nie musi, prowadzić do wzrostu cen. Nie ma bowiem praktycznie już kraju, w którym mechanizm rynkowy działałby w klasycznej, niekontrolowanej postaci. A wprowadzenie państwowej kontroli cen umożliwi ich zamrażanie pomimo nadwyżki popytu nad podażą. Decyzja taka, będąca wyrazem określonej polityki gospodarczej, nie zmienia istoty zjawiska, a jedynie sposób jego przejawiania się. Mamy zatem dwa zasadnicze typy inflacji: jawną — wyrażającą się wzrostem cen, i ukrytą — przy ich zamrożeniu. Przejawem tej drugiej tendencji są kolejki, trudność zamiany pieniądza w dowolnie wybranym momencie na potrzebne towary, pojawianie się form reglamentacji pewnych towarów, czy wreszcie istnienie czarnego rynku.

Przyczyn inflacji może być wiele, ale mają one wspólne źródło. W ekonomii jesteśmy zgodni w zasadzie co do tego, że takim źródłem (przyczyną pierwotną) jest skuteczne działanie określonych sił społecznych, mające na celu zmianę kształto-

Dokończenie na str. 9

DZIENNY wśród drzew. Październik. Matowe słońce zatrzymało się nad Nowym Światem. Obok przejeżdża na wrotkach kilkunastolatek. Ubrana jak amerykański baseballista. A tu Warszawa. Środek miasta prawie. Liście. I Ewa przystaje.

— Wiesz, lubię, kiedy pada deszcz. Lubię konfitury z wiśni. Lubię morze późną jesienią. I narcyzy. Bo takie suche, zimne, a tak pięknie pachną.

I jest zupełnie inaczej, niż miało być. Nie rozmawiamy o niej, o jej sukcesie, karierze. Tylko o rzeczach zwykłych, szarych i codziennych. Nazwanych. Po sto razy. Co z tego wyjdzie? Miało być o Ewie Półtockiej laureatce X Konkursu im. Fryderyka Chopina. Będzie? Może tylko o dwudziestotrzyletniej dziewczynie. Jednej z wielu.

— Lubię nazywać rzeczy. Po swoim jeju je określać i przybliżać. Tyle we mnie siedzi niepokoju, lęków, wątpliwości. Gdy je nazywam, są mi bliższe, mniej groźne.

Siedzimy na ławce.

Chcę nazwać rzeczy, te wysokie
dźwięki,
Zdolne dostrzegać, kiedy wiatr
się ciszy,
Skrzydlate bramy, drzwi głębokie
tonęki
broniące wstępu w kręgi cienia, ciszy.

— Poezja Eliseo Diego jest ostatnim moim odkryciem. W ogóle krąg literatury i poezji iberoamerykańskiej jest mi bardzo bliski. Tak się jakoś dzieje, że jest ona często uzewnętrznieniem moich własnych przeżyć, stanów psychicznych. Ich projekcją.

Ewa ma niebieskie oczy, właściwie one przesadzają o jej urodzie. Dla ludzi, których spotyka, najczęściej są uśmiechnięte.

— Chcę być dla wszystkich życzliwa i bardzo potrzebuję tego samego. Choć uważają mnie za dziewczynę silną i zdecydowaną, wiedzącą, czego chce... Jestem jedynaczką. W domu otoczona byłam od małego serdecznością i wielką uwagą rodziny. Cała rodzina miała i ma coś wspólnego z muzyką. Matka jest śpiewaczką. Pradziadek był lutnikiem, dziadek organistą. Miałam więc tę muzykę na co dzień i w zasadzie nie miałam wyboru. Oczywiście, szybko rozpoczęto moją edukację. Pianino stało w domu. Od piątego roku brałam regularne lekcje, a potem poszłam do szkoły muzycznej. Nie byłam w szkole lubiana przez inne dzieci. Trudno było mi przywyknąć do atmosfery w klasie. Dziwne to było, ale jakoś świat nie chciał się wokół mnie kręcić, tak jak w domu. Gdyby nie wychowawczyni, pewnie nie by z tego mojego grania nie wyszło. Bardzo mi pomagała. W trzeciej klasie powiedziała mi: „Masz Ewa talent”, i to był chyba moment decydujący. Zwrócono na mnie uwagę. Zagrałam na pokazie dzieci pracowników służby zdrowia. Potem zabrano mnie na popisy w sali kameralnej Filharmonii Narodowej. Miałam dziesięć lat... Nie. Nie myśl, że później poszło łatwo. Wiele razy chciałam zrezygnować. Dziś myślę, że gram, bo byłam jedynaczką. Ale mam świadomość, że coś także przez to jedynactwo straciłam. Życie rodzinne? Nie wiem...

Ewa ma piękne dłonie. Długie palce proszą się o lakier do paznokci. Ale paznokcie są przycięte krótko. I nie będzie już inaczej. Wspomnienie przywołuje profesora matematyki z liceum, który tepił manicure u dziewcząt. Ewa takich wspomnień nie ma, bo chodziła do liceum muzycznego.

Powie, podnosząc z asfaltowej alejki liść klonu:

— Boję się rzeczy nowych. Mam to od dziecka. Trzy lata temu pojechałam do Turynu na koncerty. Była ze mną mama. W tym czasie w Turynie odbywał się proces Czerwonych Brygad. Było mnóstwo policji na ulicach. Kiedy zostawałam sama w pokoju hotelowym, przysuwałam stół do drzwi. Bałam się. Boję się śmierci. Śmierć... Wyobrażam ją sobie jako ciemność i samotność. Boję się wszelkiego gwałtu i przemocy. Wojny. Dziwne to może, ale obraz wojny potrafię wywołać bardzo plastycznie. Boję się zła... I wielu innych rzeczy.

I sferę mroku, wewnątrz uświadczone,
gdzie kurz wyznacza rytuały własne,
i owo drewno ludzkie, drewno nocne,
drewno mojego ciała, kiedy zasną.

W Towarzystwie im. Fryderyka Chopina, popularnym „licu” czekała na Ewę lista i telegramy. Jest tego sporo. W domu jeszcze więcej. Czyta od razu.

— Boże, jacyż oni kochani...

Ewa odpowiada na listy. Jeszcze starsza czasu. Gdy tak mówimy o tym czasie, przypomina sobie, że musi załatwić przewiezienie do domu fortepiano, z Jasnej na Zoliborz. Jednej z nagród, jakie otrzymała.

— Kiedy miałam trzynaście lat, dałam pierwsze koncerty zagraniczne. Pojechałyśmy z mamą do ZSRR. Mama śpiewała, a ja akompaniowałam.

Program był tak przygotowany, abym mogła się „pokazać”. W Moskwie dostaliśmy 3-pokojowy apartament urządzony XVIII-wiecznymi meblami, a w Leningradzie — myśliwski. Strasznie to wszystko przeżywałam. Ale co innego z tej podróży pamiętam najlepiej. Lecąc z Moskwy do Alma-Aty, zasnąłam, a wiatr wiał mi do ucha. Kiedy przylecieliśmy, bolało, ale się nie przejmowałam. Dopiero na drugi dzień okazało się, że jest to zapalenie. Ale grać trzeba było. Ledwo wytrzymałam do końca... Nie pomyśl, że mówię o tym z próżności. Ma to dla mnie specjalne znaczenie; bo to moje brnięcie w muzykę zyskało wówczas wymiar bólu fizycznego, a nie tylko — jak dotąd — zwątpień i szarpaniny psychicznej. Każde uderzenie w klawisz sprawiło mi wymierny ból, ale przecież musiałam grać. Zresztą czy ja wiem? Może tylko chciałam... Odlot z Alma-Aty był piękny. Samolot pły-

bardzo lubię Tuwima. To dziwne — mówią. Dziewczyna i Tuwim?

Góry są moja obsesja. Kocham je i boję się ich. Kiedyś wybrałam się ze znajomym na szczyt odległy o kilka kilometrów od domu. Szliśmy pod górę i w pewnej chwili poczułam strach. Nie mogłam zrobić kroku dalej. Wróciłam. Następnym razem, w tym samym miejscu znów się to powtórzyło. Poszłam jednak dalej. Okazało się jednak, że nie był to żaden punkt krytyczny, przełomowy. Nic nie było dalej ani łatwiejsze, ani prostsze, jak sobie myślałam. Celu chyba nigdy nie można dojść, bo ciągle się oddala i okazuje pozorem, imaginacją... Wracając do gór. Kocham je, bo pozwalają mi o wielu rzeczach zapomnieć...

Całą tutejszą wędkę, osad pyłu,
w którym przetrwały mego ojca ślady,
kamienne płyty, stanowcze i czyste,
odarte z cienia, zawsze takie same.

Kiedyś zagram siebie

Waldemar Piasecki

nał poprzez granat chmur, przez które nie mogło przedrzeć się słońce. Nagle zaleźliśmy się wśród czerwieni, później złota i tak zostało. A nad nami była góra jasności. Ten widok mnie zafascynował. Była to jedna z najpiękniejszych chwil, jakie przeżyłam dzięki graniu...

Siedzimy w biedermaierach (?) pierwszego piętra pałacu Ostrogskich na Okólniku. Na stole stoi półtorametrowa waza. Arcydzieło kiczu, urodzone w bólach w manufakturze miśnieńskiej. Wszystkie na niej kolorowe i jak żywe. Kwiatuszki, ludziki, zwierzątka. Stoł i przeszkadza. Przesunąć nie wolno.

— To było tu obok. Luty tego roku. Eliminacje do reprezentacji na konkurs. Grałam koncert f-moll. No i później ta radość, że jestem w ekipie. Myślałam o tym dniu od wielu lat. To dziś może śmieszne, ale piętnaście lat temu złożyłam się z koleżanką o czekoladę, że w 1980 roku zagram w konkursie. Tak się wtedy złożyłyśmy dla hecy. I wyszło mi... Jej się nie powiodło. Nie pracuje, nie gra, ma dwoje dzieci i jest niezadowolona z życia. Co z tą czekoladą? No ja do niej nie pójść, a poza tym i tak dziś nie ma czekolady. To żarty oczywiście. Zastanawiam się często, dlaczego tej koleżance się nie powiodło. Nie wiem, ale chyba nie wszystko zależy od nas. Jest chyba przeznaczenie...

Mówię o tym przeznaczeniu. W lipcu 1979 roku byliśmy na wczasach w Alpach, w pobliżu Bolzano. Kocham góry. Było naprawdę wspaniale. Nic, tylko siąść i pracować. I wtedy przyplątała się choroba. Rozpoczęłam intensywne leczenie u doktora Palucha w Słupsku. Były chwile, że nie wierzyłam, że się uda. Wtedy właśnie zrozumiałam wiele spraw. Coś tam sobie poukladałam od nowa, inaczej. Dlatego też eliminacje lutowe przeżyłam inaczej.

W marcu koncertowałam w kraju i nagrałam dwie płyty w RFN. Później byłam na stypendium w Hamburgu. Lipiec spędziłam w górach, w Zakopanem. Potrzeba mi było ciszy i spokoju. Czytałam też. Sporo. Wiesz,

to ludzi. Chodziłam tak dwie godziny po pustej plaży i było mi dobrze.

Pytasz o koleżeństwo i rywalizację? Nie wiem, co powiedzieć. Ja nikomu nie nie życzyłam. Inni — nie wiem. Myślę, że zawiść nie może być bezkarna. Ktoś, dla kogo celem jest niepowodzenie innego uczestnika, nie może zagrać dobrze. Spośród uczestników konkursu najlepiej znam Erika Berchofa. Poznaliśmy się w 1977 roku w Vercelli, gdzie wspólnie zajęliśmy I miejsce. Później spotykaliśmy się wielokrotnie. W czasie konkursu kibicowaliśmy sobie. On był pierwszym, który mi gratulował występu w finale.

Jak gram? Ja ciągle szukam. Chopina chciałam grać po polsku. Dlatego właśnie w chwilach wolnych czytałam „Pana Tadeusza”. Jest jakaś łączność między Mickiewiczem a Chopinem. Choć ja jej nie potrafię nazwać.

Mama zawsze mnie uczyła, że najważniejsza jest pokora wobec sztuki, że grać trzeba, jak by się było w świątyni, a nie na arenie. Ta pokora mi nieraz bardzo pomagała. Ale przecież są tacy ludzie jak Ivo Pogorelic. Gdzie u nich pokora? Oni burzą, ale przez to... tworzą nowe wartości. Czym więc jest a pokora i jaki jest jej cel? To muszę rozstrzygnąć. Tego się doszukam. W sobie... Chciałabym bardzo, aby w mojej muzyce słychać było to, co mnie niepokoi, zastanawia, boli, czego się boję i do czego dążę. Może to duże słowa, ale chciałabym grać siebie. Udaje się to osiągnąć bardzo nielicznym. Wymienię Artura Rubinsteina i Martę Argerich. Marta jest moim ideałem wykonawczym. Fascynuje mnie u niej brak oporów w obcowaniu z dziełem muzycznym, jej emocjonalność i perfekcja techniczna. Być może kiedyś będę się u niej uczyć...

Niosąc spojrzenie lata nieruchome
moje uczucie wszystkie ścieżki

znajdzie,
którymi biegną niedziele spragnione,
aby powrócić smętnym poniedziałkiem.

Siedzimy w kawiarni „Nowy Świat”. Stołek ma numer 44. I jest to być może szlachetniczości. Ewa huła krzesłem stojącym obok niej, pije coca-cola.

— Wiesz, konkurs kosztował mnie dużo. Teraz, po tym wszystkim, chcę uciec i przestać myśleć. Dość grania. Silnym trzeba być, kiedy schodzi się z estrady. Dla innych.

Ewę zaczyna boleć głowa. Ulica wita nas wilgotnym wieczorem. Chwilę stoimy, zanim podamy sobie rękę na pożegnanie. Bez słów.

Będę nazywać rzeczy tak powoli,
że kiedy stracę Raj mojej ulicy,
a zapomnienie to sen ją już przemieni
zdołam ją zawsze przywołać o świecie.

PS. Wiersz Eliseo Diego „Chcę nazywać rzeczy” przełożył Andrzej Nowak (Wydawnictwo Literackie, Kraków 1980).

**Pismo Lubelskiego Oddziału
Związku Literatów Polskich
Założyciele: Kazimierz Andrzej
Jaworski i Zenon Waśniewski**

Redaguje zespół: Maria Bechzyrc-Rudnicka, Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Maciej Podgórski (sekretarz redakcji), członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Mirosław Derecki, Tadeusz Jasiński, Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego), Bronisław Kowalski, Henryk Pajak (kierownik działu literackiego), Waldemar Stepien (fotoreporter), Redaktor techniczny — Irena Komosa, korektor — Ewa Dybek.

Informacji o warunkach prenumeraty udzielają Oddziały BSW „Prasa — Książka — Ruch” i urzędy pocztowe. Cena prenumeraty rocznej — 78 zł. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje BSW „Prasa — Książka — Ruch”, Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-608 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie nr 1153-201943.139-11; prenumerata ta jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. W sprawach literackich przyjmuje interesantów w poniedziałki w godz. 10-12 i piątki w godz. 14-15.

Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa — Książka — Ruch”, Kombinat Wydawniczo-Kolportażowy w Lublinie, ul. Jasna 5, tel. 255-30.

Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN w Lublinie, ul. Unicka 4, PL ISSN 0137-2104 Nr indeksu 26251

Adres redakcji: 20-029 Lublin, ul. Skłodowskiej 2/1

Telefony: sekretariat, redaktor naczelny 255-93, sekretarz redakcji 212-93, dział publicystyki i literacki 275-33.

Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem: 20-050 Lublin 1, skrytka pocztowa 231; polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.

Dworek na wokandzie

Ireneusz J. Kamiński



Fot. Waldemar Stępień

KONSERWATORZY zabytków zajmują się, jak wiadomo, substancją kruchą, omszałą, kształtującą refleksyjny stosunek do świata. Można by zatem przypuszczać, że są to ludzie spokojni, opanowani, egzystujący we współczesności jako te cegły gotyckie, główki oraz wozówki, osadzone w murze własnej rzeczywistości i jednym tylko licem spoglądające na kotłownię dookoła dnia dzisiejszego.

Tymczasem listopadowa ogólnopolska konferencja „System ochrony zabytków w Polsce”, która zgromadziła w sali lubelskiego NOT-u przedstawicieli bodaj wszystkich instytucji i środowisk tej dziedziny kultury, okazała się spotkaniem tak burzliwym, tak pełnym polemicznego ognia i dramatycznych konstatacji, że wszelkie gawędzenia o „spokojnych konserwatorach” między bajki (albo pomówienia) należy szybko włożyć. A jednak werwa dyskusyjantów zaskakiwała co nieco, jako że niejednokrotnie poruszali oni sprawy wałkowane od lat na różnych profesjonalnych zjazdach i naradach oraz w prasie codziennej i periodycznej. Sprawy do dziś nie rozwiązane. Do nich należy np. kwestia praktycznej skuteczności ustawy o ochronie dóbr kultury, przyjętej przez Sejm w 1962 roku.

Akt ten stwierdza jednoznacznie, że *ochrona dóbr kultury jest obowiązkiem Państwa i powinnością jego obywateli* i stanowi tym samym legislacyjny fundament całego systemu opieki nad zabytkami w Polsce, umożliwiającą ponadto karne represjonowanie osób lub instytucji naruszających ustawę. Można zatem założyć, że powszechne respektowanie dokumentu przywróciłoby zdrowie wszystkim naszym obiektom architektury i budownictwa, wartym zachowania ze względu na swoje wartości historyczne i estetyczne. Tymczasem jednak nawet krótkowidz spostrzeże, że wokół takich rewaloryzowanych miast, jak Zamość, Kraków, Sandomierz czy Toruń chyła się ku upadkowi cenne pałace, dworki i kamienice, że gdzieś tam z polecenia wojewody wysadzono w powietrze stare młyny, albo z innej inspiracji cichem i spontanicznie podłożono ogień pod zabytkową chałupę, aby zyskać plac pod budowę pawilonu handlowego. Równocześnie jednak, co dziwne, nie obserwuje się większego tłoku w salach sądowych, spowodowanego postawieniem w stan oskarżenia sprawców owych zaniedbań i czynów wynierzonych w nasz majątek kulturowy. W Polsce bowiem łatwiej trafia się do ciupy za włamanie do kiosku z gazetami, niż za doprowadzenie do ruiny pałacu. W całym powojennym 36-leciu doszło do kilkunastu zaledwie — jeśli nie przesadzam — rozpraw sądowych z tytułu naruszenia wiadomej ustawy. Konserwatorzy rzadko kierowali odpowiednie wnioski do prokuratorów, którzy jeszcze rzadziej chcieli nadać im bieg służbowy.

Kilka lat temu głośna była w kraju sprawa osiemnastowiecznego dworku w kieleckich Zagajach, należącego niegdyś do rodziny wybitnego polskiego historyka sztuki, Władysława Łuszczkiewicza, a po drugiej wojnie — do miejscowego PGR, który eksploatując zgrabny, otoczony pięknym parkiem budynek, zupełnie zaniedbał remonty i doprowadził ostatecznie do poważnej jego dewastacji. W rezultacie prokuratura w Jędrzejowie oskarżyła dyrektora przedsiębiorstwa o działalność na szkodę kultury narodowej, aby — naturalnie — przegrać sprawę w pierwszej instancji. Podczas rozprawy rewizyjnej uznano co prawda

winę pozwanego, ale sprawę umorzono, wzięwszy pod uwagę skutki prawne wcześniejszych amnestii. Przy okazji zobowiązano przecież zjednoczenie PGR do sfinansowania pewnych ekspertyz w o-biekcie dla celów konserwatorskich, a także do wyprowadzenia z dworku lokatorów — pracowników gospodarstwa. Teraz jednak, kiedy sprawa oddaliła się w czasie i jakby przyschła, zjednoczenie nie chce zapłacić za wykonaną ekspertyzę mykologiczną i ciągle zwleka z opróżnieniem obiektu, który nie wie, co mu grozi, bo ciągle wita gości napisem „Czem chata bogata, tem rada”, umieszczonym na ładnym neogotyckim przepierzeniu. Przypuszczalnie nikt i nikt jednak nie uratuje starej siedziby Łuszczkiewiczów, jako że smród straszliwy z pobliskich zabudowań gospodarskich PGR przenika ją tak dokładnie, że odstrasza wszelkich potencjalnych użytkowników dworku.

Zagaje, należy pamiętać, to w procedurze niszczenia obiektu zabytkowego przypadek tuzinkowy, jeden z wielu, który rozgłos zyskał tylko dlatego, ponieważ w obronie budynku stanęła prokuratura, a nie jakaś tam „niepoważna” postać w rodzaju konserwatora wojewódzkiego. Obecnie, w sposób niemal ostantacyjny i wbrew protestom konserwatorów oraz innych specjalistów, lamie się ustawę z 1962 roku w Siedlcach i Żyrardowie, że posłużyć się przykładem przedstawionym na konferencji lubelskiej, lokując w pobliżu stref zabytkowych, prawem chronionych, tych miast wielkie „nowoczesne” budowle. Czy tu także wkroczy prokuratura?

Zapytany o gwarancje przestrzegania aktów konstytucyjnych, pewien prawnik lubelski, profesor UMCS, odpowiedział, że wiążą się one z kulturą polityczną społeczeństwa, które je ustanowiło. Jeśli kultura ta jest niska, najpiękniej skonstruowana, najbardziej humanistyczna i demokratyczna Konstytucja traci wpływ na realny bieg wydarzeń i staje się martwym słowem. Schodząc na niższe piętra społecznej umowy, można założyć, że respektowanie ustaw sejmowych zależy z kolei od kultury prawnej ogółu, od charakteru moralności obywatelskiej. Jakże więc wnioski można wyciągnąć z faktu, iż posiadając w Polsce szereg mądrych, racjonalnych ustaw, przepisów i uchwał, mamy zarazem tak zdeformowaną rzeczywistość: społeczną, gospodarczą, kulturalną?

W takich warunkach staje się zrozumiałe, dlaczego konserwator miejski Lublina przyryka oczy, albo zgadza się na dostawienie do zabytkowego zespołu powizytowskiego, w którym sam urzęduje, okazałego przedsionka; na nocne (!) rozzebranie neorenesansowego słupa ogłoszeniowego przy ul. Narutowicza; na okna lukowe w knajpie ulokowanej w budynku zabytkowym bez śladu takiej geometrii; na likwidację pięknej bramy z wystrojem secesyjnym, wchłoniętej przez poszerzony sklep przy ul. 3 Maja; na zamalowanie granitowego cokołu secesyjno-historyzującej kamienicy przy ul. Chopina, na otynkowanie spatynowanego i informacyjnie bogatego muru w klasztorze pobernardyńskim; na zamiarę tradycyjnej dachówki w kilku kościołach i klasztorach na blachę; na beceremonialny stosunek różnych instytucji i przedsiębiorstw do architektury i dekoracji ściennych z lat pięćdziesiątych; na radosną modernizację parterów Krakowskiego Przedmieścia, fałszującą nie tylko stosunki przestrzenne i ogólny wyraz tej architektury, ale powodującą osłabienie murów i rozpad niektórych kamienic, na przykład przy rogu ul. Kollataja...

Kiepiąc bez pamięci wersety z wykładni ideologicznej „stołka i miski”, można to wszystko zrozumieć. Konserwator działa z upoważnienia prezydenta miasta i dłoń jego przy podpisywaniu różnych decyzji kierują zapewne życzenia zwierzchnika (oraz innych decydentów). Ręce ten człowiek ma więc zniewolone, tak jest, ale co on robi w tej sytuacji z umysłem i sumieniem?!

Dobre, społecznie pożyteczne spełnianie funkcji konserwatora wymaga dziś przede wszystkim charakteru, odwagi i takiego przejęcia się sprawą tradycji kulturowej, że udzielałoby się ono ludziom kierującym naszym życiem zbiorowym.

Nie ulega kwestii, że Polacy włożyli ogromny wysiłek w dzieło ochrony zabytków architektury i budownictwa. Odnoszą jednak wrażenie, że to wszystko, co zrobiliśmy dotąd, stało się jakby obok ustawy, niezależnie od niej, zbiorową wołą ludzi światłych. Dokument z 1962 roku podzielił bowiem los wielu innych ważnych ustawień prawnych: aktualizowanych tylko na specjalne okazje. Z pobłażaniem więc przyjmując opinie i głosy nawołujące do jego nowelizacji pod kątem uwzględnienia w ustawie sprawy odpowiedzialności finansowej za ochronę zabytków. Pożyteczniej byłoby chyba „nadać bieg” trzem uchwałom Prezydium Rady Ministrów, obligującym inne resorty (poza Ministerstwem Kultury i Sztuki) do konkretnego współdziałania w ratowaniu zabytków. Nie zostały one dotychczas wyegzekwowane, ponieważ w przeciwnym wypadku należałoby pociągnąć owe resorty do odpowiedzialności, może nawet karnej. Każdy z nich znalazłby zresztą jakieś alibi, wskazując na trudności gospodarcze kraju. A kto z nas, stojących godzinami w kolejkach po mięso, po wydzielające trujące wonie meble, kto z nas zafrasowanych codziennością nie zgodziłby się z takim usprawiedliwieniem, nie zawołałby: — Przecież nie stać nas dzisiaj na cackanie się z zabytkami!

Polacy, my lubię demagogie, my kochać skrajności, dziś krzyć „niech żyje”, jutro oczernić w ulotkach, że pani S. latała co tydzień do paryskiej kosmetyczki. Nie wierzymy jednak, że nie stać nas na renowację zabytków. Nie stać nas bowiem na coś zupełnie przeciwnego: na dopuszczenie do rujnacji zabytkowych domów, ponieważ kryją one mieszkania i inne użyteczne pomieszczenia. A są to wartości wyjątkowo nam dziś potrzebne, o czym chyba nie należy nikogo przekonywać.

Jeśli zgodzimy się z takim stwierdzeniem, powinniśmy dążyć do generalnej zmiany systemu ochrony zabytków w Polsce, chyba w myśl sugestii sformułowanej na lubelskiej konferencji (urządzonej przez MKiS oraz miejscowy oddział TNOiK) przez Wawrzyńca Kopczyńskiego, wojewódzkiego konserwatora z Leszna, który powiedział:

Wobec niesprawności dotychczas funkcjonującego systemu ochrony dóbr kultury w Polsce, spowodowanego nieprzestrzeganiem istniejących aktów prawnych w sposób powszechny, należy zrewizować system, istniejący z przyjęciem wiążącej nadrzędnej zasady, że ochrona owych dóbr jest działaniem integralnie związanym z programem ekonomiczno-społecznym i jako taka powinna być planowana, rozliczana i realizowana według kryteriów oceny planów społeczno-gospodarczych na wszystkich szczeblach zarządzania.

Mówiąc inaczej: w limitach na remonty dyrektor PGR-u, na przykład, otrzymuje również środki na podreperowanie zabytku, który znajduje się ewentualnie w obrębie gospodarstwa, a jak nie wykona planu w punkcie „dworek Łuszczkiewiczów”, rozlicza się go tak samo, jakby nie zrealizował zaplanowanego remontu, dajmy na to, obory na 100 stanowisk. Oczywiście, droga do tego poziomu praktyki prowadzi z góry, od ustaleń na szczeblu centralnym.

Obecnie tylko Ministerstwo Kultury i Sztuki oraz jego agendy odpowiadają de facto za ochronę zabytków w kraju, co wobec materialnego, organizacyjnego i prawnego skomplikowania sprawy nie rokuję nadziei na zdecydowane polepszenie sytuacji w wiadomej sferze. Trzeba bowiem wiedzieć, że roczne resort otrzymuje na renowację (rewaloryzację, reanimację, aplikację — jak zwal, tak zwal) 500 mln zł, podczas gdy potrzebuje trzy razy więcej. Oczywiście, korzysta się ponadto ze środków społecznych, terenowych, z zasobów instytucji, które zechciały zająć się zamkiem czy pałacem, ale są to źródła tryskające nierównomiernie, bywa często, że okazjonalnie i krótko: sikk i po przyjemności.

Propozycja W. Kopczyńskiego nie jest wcale odkryciem, zbliżone wnioski formułowano wcześniej w środowisku konserwatorów (choćby w Lublinie na początku lat siedemdziesiątych), sam na ten temat pisałem w „Kamieniu”. Myśl tę trudno jakoś wcielić w życie, ale dlaczego, nie wiem.

Wiem natomiast, że w rezultacie konferencji lubelskiej (ponad 100 wniosków w dyskusji!) Ministerstwo Kultury powoła zapewne komisję, która po analizie stanu aktualnego zaproponuje zmiany w strukturze służb konserwatorskich w Polsce i wystąpi o to, by o mianowaniu i odwoływaniu konserwatorów wojewódzkich decydował resort. Realne jest także powołanie Stowarzyszenia Konserwatorów Polskich.

Wiem także, że w konferencji uczestniczyli wyjątkowo ludzie z branży (oraz dwóch dziennikarzy lubelskich i kamera telewizyjna), choć nikt przecież nie zamknąłby drzwi przed planistami, ekonomistami, administracją terenową. No cóż, zabytkami opiekuje się kultura...

W Lubelskiem

Dokończenie ze str. 1

Lubelski" (pierwsza codzienna od 9 XII 1830 r. gazeta Lublina), i kształtujących opinie broszur politycznych — doprowadził w końcu do wykrystalizowania żądań wysuwanych wobec króla polskiego i cara Rosji w osobie Mikołaja I. Dokonało się to pod naciskiem społeczeństwa, od pierwszych dni powstania przekonanego o nieuchronnej wojnie z caratem, dokonało się w trakcie ogromnego wysiłku mobilizacyjnego (przerastającego kolejne z lat 1792—1812) oraz bankructwa niepopularnej w narodzie polityki układów z Petersburgiem. Przeciwnicy powstania — ludzie o „historycznych nazwiskach”, będący nieprzerwanie u władzy od nocy listopadowej z hamującym rozwój powstania dyktatorem gen. Józefem Chłopickim na czele, w osobie którego społeczeństwo upatrywało wodza przyszłej walki — a więc ci ludzie — widzieli w negocjacjach jedyne realne wyjście z sytuacji wytworzonej przez spiskowców, za których dziełem, pomimo początkowych wahań, opowiedział się w końcu cały naród. Zatem rozwój sytuacji szedł od nieśmiały postulatów przestrzegania ustawy zasadniczej z 1815 r. bez zrywania związków z Rosją, do uznania z czasem powstania za narodowe, aż do żądania w styczniu 1831 r. pełnej niepodległości. Wobec zagranicy, sygnatariuszy aktu końcowego z Wiednia w 1815 r. uzasadniał to Manifest Sejmowy. Dzieło reprezentantów narodu ogłoszone w prasie 5 II 1831 r., mimo zakazu władz powstania, głosiło *prawo narodu do samoobrony* wobec dokonywanych na nim *gwaltów*. Dla obrony swoich praw — czytamy tam — naród polski, zdeterminowany na wszystko, gotów jest podjąć nierówną walkę. Nie czyni tego jednak z nienawiści do Rosjan. Stąd już tylko krok do wypracowanego wkrótce hasła przypisywanego Joachimowi Lelewelowi: „za waszą i naszą wolność”. Nadzieje na kompromis z caratem, w co do końca starali się wierzyć konserwatyści, niweczyła uchwalona po krótkiej dyskusji pod naciskiem prasy i ulicy warszawskiej 25 I 1831 r. detronizacja panującej za ledwie od 15 lat w Królestwie Polskim dynastii Romanowów. Tym samym znalazła zastosowanie zasada rewolucji francuskiej, że *tylko naród jest pełnym suwerenem swoich losów*. Podpisując ten akt, ks. Adam Czartoryski powiedział do stojących przy stole braci Ostrowskich: „Zgubiliście Polskę”. Nie trudno już teraz było przewidzieć, że konfrontacja militarna to kwestia czasu. Na polach bitew, w toku regularnej wojny, w której po obydwu stronach zaangażowano duże siły, miała paść odpowiedź na pytanie nurtujące współczesnych, także i później po przegranej, jak i kolejne pokolenia: czy 4,5-milionowe Królestwo Polskie, mimo sympatii „ludów” Europy śledzących z zapartym tużem wydarzenia nad Wisłą, pozbawione zaplecza przemysłowego, otoczone wrogimi sąsiadami, było w stanie „wybić się na niepodległość” w starciu z ponad 50-milionowym „kolosem północy” — caratem? Czy szansa taka istniała w toku 9-miesięcznych zmagani wojennych, kiedy szala zwycięstwa przechylała się bądź na jedną, bądź na drugą stronę, zwłaszcza wiosną 1831 r., gdy walki przeniosły się poza granice Królestwa?

Powszechnie wiadomo, że w kampanii 1831 r. okolice Warszawy i sama stolica — polityczne i militarne centrum powstania oraz jego zbrojownia — były obszarem, na którym ścierały się główne siły obydwu walczących stron. Ale obok niego, często mniej znane a nieraz zapomniane, istniały drugorzędne fronty poboczne. Jeden z nich, południowy teatr działań, stanowiło

województwo lubelskie, trzecie pod względem obszaru w Królestwie, po mazowieckim i augustowskim. Zamieszkiwało je w skali całego kraju 12,5 proc. mieszkańców (ponad 500 tys.). Z terenu tego, gdzie sporą część stanowiła ludność obca narodowo i wyznaniowo (Rusini i Żydzi), zdolano zmobilizować do wojska powstańczego ponad 12 tys. ludzi, czyli 2,2 proc. ogółu ludności. W świetle dotychczasowych badań historyków był to naj-



Piotr Wysocki — inicjator powstania i bohater Nocy Listopadowej

większy wkład spośród czterech województw znajdujących się po prawej stronie Wisły.

Na południowym teatrze działań, przez długi czas nie uwzględnianym w polskich planach operacyjnych, znajdowała się jedna z dwu twierdz Królestwa — Zamość. Za czasów Rzeczypospolitej uważana była za jedną z najsilniejszych fortyfikacji na ziemiach polskich. Jednak już w XIX wieku twierdza straciła swoje dawne znaczenie z powodu zbyt dużego oddalenia od Wisły, podstawy działań armii powstańczej, jak i z uwagi na niemożność pomieszczenia tam znaczącego garnizonu. Niemal w przededniu wojny zaczęto sobie uświadamiać, że twierdza może stanowić w przyszłości centrum powstania w województwie lubelskim i spełniać rolę ośrodka zaczepno-dywergencyjnego ze względu na Wołyn, jak również pełnić funkcję bazy dla operujących na tym terenie samodzielnych korpusów czy oddziałów partyzanckich. Tych ostatnich jednak tu nie zorganizowano. Nieskuteczność owych zabiegów wcześniej dostrzegł Ignacy Prądzyński, były wicekomendant twierdzy Zamość, jeden z naj-

wybitniejszych strategów tej wojny i autor „Pamiętników”, najlepszego opracowania wojny 1831 r., który na jego łamach napisał: *powziętem przekonaniem, że mała wojna [partyzancka — J. S.] nie da się nakazać, że aby powstać mogła, musi być do niej usposobiony umysł ludzki; polski zaś naród ma na to charakter za łagodny i zupełny brak jakiego bądź fanatyzmu*. Znaczenie twierdzy wzrastało także ze względu na Galicję, z którą od południa graniczyło województwo i skąd ze strony rodaków spodziewano się wieloletniej i efektywnej pomocy dla powstania.

Mimo wcześniejszych ostrzeżeń, informacji napływających od Polaków z ziem cesarstwa rosyjskiego, fałszywych alarmów i danych wywiadu inwazja wojsk carskich z 5/6 II 1831 r. zaskoczyła Polaków. Powszechnie spodziewano się jej nie wcześniej, jak na wiosnę — w marcu. Dopiero teraz z całą ostrością ujawniły się stracone bezpowrotnie pierwsze dwa miesiące powstania. Zmarnowana została szansa ofensywnego wystąpienia Polaków w grudniu 1830 r. i przeniesienia działań wojennych poza granice Królestwa. Nic więc dziwnego, że Polacy rozpoczęli kampanię bez założenia wyjściowego, pozbawieni wyłecznych na

ale Polakiem z Litwy — Cyprjanem Krzyżanowskim. Na służbę wojskową w armii państwa zaborczego, gdzie spotykamy wówczas wielu Polaków (jak np. generałowie: Włodek, Sulima, Malinowski), Krzyżanowski, były paż ostatniego króla Rzeczypospolitej Sta-



Maurycy Mochnacki

niśława Augusta Poniatowskiego, na dworze którego otrzymał bardzo staranne wykształcenie i z którym do końca dzielił jego losy, zdecydował się z braku środków do życia. Małżeństwo z bogatą jedynaczką barona Kreutza w Kurlandii zdecydowało o zmianie nazwiska, ułatwiając mu jednocześnie zrobienie błyskotliwej kariery w wojsku. Według świadectw współczesnych, pozostawał Polakiem *ciągle mową, obyczajem, kształceniem i skłonnościami nawet*. Dane polskiego wywiadu i relacje wziętych do niewoli polskich oficerów wskazują jednoznacznie, że z tego powodu przeżywał wewnętrzne rozterki. W rozmowach z rodakami tłumaczył się, że ciężko mu jest *walczyć przeciwko swemu przekonaniu*. Być może dlatego w toku wojny w województwie lubelskim dał dowody głębokiego humanitaryzmu. Niektórzy pamiętnikarze skłonni są twierdzić nawet, że jeńcom polskim celowo stwarzał możliwości ucieczki. Jemu to zawdzięczał Lublin, drugie po Warszawie miasto kraju, liczące wtedy około 14 tys. mieszkańców, że nie został w marcu 1831 r. przy ponownym zajęciu zniszczony i spalony przez żadne łupu żołdactwo. Na tym tle dochodziło nawet do częstych sporów między Kreutzem, a szefem jego sztabu Niemcem Dellingshausenem. Kreutz robił wszystko, co podnosili sami Polacy z otoczenia Czartoryskiego, aby można było uratować przed wywiezieniem bezcenne zbiory puławskie. Sposób prowadzenia wojny przez Kreutza; zmarnowane w kwietniu okazje pokonania Polaków, wydają się być czasem co najmniej zaskakujące, by nie powiedzieć, że były to posunięcia celowe.



General Józef Chłopicki — dyktator i wódz naczelny

Marsz wojsk Kreutza, dla bezpieczeństwa osłoniętych od forticy zamojskiej oddziałem obserwacyjnym, odbywał się spokojnie, jak gdyby w warunkach pokoju. Już 5 II 1831 r. Rosjanie zajęli Hrubieszów. Następnego dnia pojawili się oni na przedpolach twier-

dy. Wysłani parlamentariusze wezwali do kapitulacji, wywołując tym żądaniem oburzenie wojska i dowódcy gen. Juliana Sierawskiego, od początku popierającego powstanie. Posterunki obywatelskie nieprzyjaciela obsadzili: Szebrzeszyn, Izbięcę, Tarnogóra, Stary Zamość, Wysokie. Tylko z powodu nagłej odwilży i dużego taboru przeciwnik potrzebował kilku dni, aby zająć całe województwo.

8 II 1831 r. Rosjanie w sile około 3 tys. ludzi, uprzedzwszy wcześniej specjalnym listem prezydenta miasta, wkroczyli od strony Tatar do stolicy województwa — Lublina. Gwarne, tętniące bujnym życiem politycznym miasto w okresie tak doniosłych wydarzeń narodowych na przełomie 1830 i 1831 r., wzbudzone po 15 letnim letargu w dobie Królestwa Polskiego, całkowicie zamarło. Na ulicach nie widywano już ludzi noszących białe kokardy przypięte do lewego ramienia na znak przystąpienia do powstania. Zamilkł spór, ustały zażarte i ostre dysputy polityczne w miejscach publicznych, w szynkach i traktierniach, gdzie wędzili młodzi urzędnicy i wojskowi, przedstawiciele inteligencji, a także młodzież szkół lubelskich, na co stało z obawą patrzyły bezsilne władze administracyjne, skorumpowane, nie cieszące się popularnością wśród mieszkańców stolicy województwa. Jak gwałtowne musiały być czasami te dyskusje, świadczyć mógł przykład Maurycego Mochnackiego, który gdy pewnego razu w traktierni w Lublinie wystąpił z mową przeciwko Chłopcickiemu, o mało co nie został roziękany szabłami przez oficerów tam przebywających.

W grudniu 1830 r. zaniepokojony wydarzeniami w mieście przez Komisję Województwa Lubelskiego Antoni Lubowiecki, były oficer z czasów napoleońskich, w przesłanym władzom warszawskim sprawozdaniu pisał: *że liczne osoby nachodzą drukarnię wojewódzką, żądając drukowania rozmaitych pisemek, a spotykając się z odmową, zagrażają niebezpieczeństwem drukarni. Władze wojewódzkie musiały dać straż, do zastąpienia onej od gwałtowności. Od razu przestał istnieć klub rewolucyjny (najaktywniejszy spośród wszystkich na prowincji) dzięki Maurycemu Mochnackiemu, dla którego miasto stało się „miejscem zesłania” za publiczne krytykowanie nierewolucyjnego postępowania gloryfikowanego przez społeczeństwo kolosa powszechnego zaufania — dyktatora Chłopcickiego. W Resursie Obywatelskiej zamknięto cieższą się popularnością czytelnię prasy krajowej i zagranicznej. Zawiesił swą działalność aktywny dotąd teatr lubelski. Nie pojawił się już więcej „Kurier Lubelski”, gdyż jego redaktor i wydawca w jednej osobie, młody patron Trybunału Cywilnego, adiutant regimentarza Romana Sołtyka — Jan Czynnki w obawie represji, które wkrótce zresztą nastąpiły, ewakuował się za Wisłę. Od razu też dopytawali się o niego Rosjanie, wyznaczając za jego schwytanie tyśiąc czterech złotych (18 tys. złp.) za to, że tak pięknie Rosjan opisywał, jak informował czytelników w marcu 1831 r. wychodzący w Warszawie „Kurier Polski”. Za Wisłę też przeniosły się, zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami rządu, centralne władze wojewódzkie. Odtąd Lublin, z małymi tylko przerwami, już do końca wojny znajdował się pod okupacją nieprzyjaciela. Dla przeciwnika stanowił niezwykle ważny punkt, jako oparcie lewego skrzydła armii carskiej w Królestwie. Pozwalał nie tylko kontrolować wszelkie ruchy wojsk polskich nad Wisłą, ale przede wszystkim zastąpić ogłocoony w tym czasie z wojsk Wołyn przed próbami przedarcia się tam oddziałów polskich i wywołania powstania na tyłach nieprzyjaciela. Jednocześnie przez cały ten czas Rosjanie bezlitośnie wykorzystywali potencjał gospodarczy województwa, co ułatwiły im utworzone przez nich władze administracyjne składające się z urzędników, którzy nie zastosowali się, często ze względów rodzinnych, do ewakuacyjnych rozporządzeń władz powstania.*

W czasie, gdy główne siły carskie zbliżały się ku Warszawie, 13 i 14 II. Kreutz z częścią swych sił przeszedł na lewy brzeg Wisły i zajął Radom. Działanie jego zagroziło wstrzymaniem dostaw żywności dla stolicy i województwa krakowskiego. Nie znając dokładnie jego sił, w Warszawie poważnie obawiano się jego marszu na stolicę. Dopiero działania Dwernickiego w województwie sandomierskim zmusiły Kreutza, słabego liczebnie, do natychmiastowego powrotu za Wisłę do województwa lubelskiego.

(c.d.n.)
Jan Skarbek

TYCH niebyłych zawsze płatało się wokół mnie wielu, przychodzili, odchodzili, mijali. Po prawdzie bardziej płatał się wokół siebie i swoich opowieści, niż wokół mnie. Wzywalem ich tylko w ciemno, nie wiedząc jeszcze, co mają do powiedzenia i kiedy do powiedzenia mieli nic, nie odczytywali prawidłowo mojej gawędziarskiej intencji, przystojąc za pan brat z moją cierpliwością. Chciałem, żeby któryś z nich wreszcie zawierzył mi jakąś niezwykłą sprawę swojego życia, opowiedział jakiś pozornie drobny epizod, z którego można wyczarować wielkie opowiadanie, żeby to coś zapadło we mnie i nigdy nie dawało spokoju, żeby mnie drażyło aż do szaleństwa i dopiero zapisane uszło w zapomnienie. Chciałem prawdy, chociaż i ładne fabularne zmyślenie też jest do wzięcia, byle tylko narrator zszedł na drugi plan i dał głos sytuacji, pozostawiając w cieniu swój egotyzm.

Jak to było panie, jak? Co pan czuł? Tylko bez picu, prawdę i tylko prawdę, jak na spowiedzi świętej. Chociaż nie znam tego na pamięć, nie doświadczyłem tego do końca, najnormalniej spóźniłem się na wojnę i trudno mi będzie uwierzyć we wszystko. A jak tylko wyczuje, że pan kitem skarmiasz, koniec. Gadał zdrów, a ja o czym innym pomyślę. Gdy się skończyła, miałem pięć lat, ojciec nie wrócił, więc mi nie opowie, pan mi opowiadał,

Jakby kto szampana otworzył

Tadeusz Kwiatkowski-Cugow

ale nie wszystko, pan mi opowiadał to coś, co było kiedyś i wraca teraz. Pan mi opowiadał, tylko bez kolorów. Od kolorów jestem ja, pan jesteś od prawdy. Istotny fakt ma swoją fakturę, kształt, smak i zapach, ma swoją osobowość i styl. Wszystko inne trać kitem, na który wystawczy głośniej krzyknąć i pęka jak bańka mydlana.

Są tacy o oczach z drewna i nawet gdybyś do nich zajrzał jak do głębokiej studni dzieciństwa, zobaczysz tylko puszkę. Ale facet, który usiadł przy mnie na drinka, wydawał się prawdziwy. Patrzył gdzieś daleko, nie dokładnie, jakby zaglądał do pożółkłych kronik swojej młodości, oczyma jak dwa witraże, trochę zmatowiałe, bystre jednak i rozumne. Czulem się w jakiś sposób wyróżniony, gdyż mój przysiadły nie wyglądał na upojonego cwaniaka, więc nie siał przy pierwszym lepszym stoliku, tylko musiał dokonać wyboru. Mój rozmówca miał wiek na tyle słuszny, że zwykłe ludzie w tym wieku już żyją tylko wspomnieniami i żeby nie skopsać przeżytego mądrze życia świadomością końca, mówią w pewnym momencie pogodnie: „No cóż, pożyliśmy trochę, raz lepiej raz gorzej, w sumie jednak nieźle, pomału zbliża się czas ostateczny i trzeba pomału się brać za umieranie”.

On wyglądał mi na siedem dych, jak w mordę strzelił. A nabawił się takiego wieku wcale nie jest łatwo. Jego życie musiało być bardzo zagęszczone, o czym świadczyła ruchliwa i otwarta twarz. Czulem, że los mnie wyróżnia poprzez szansę wysłuchania tego faceta, który, głowę dając, coś mi wielkiego podrzuci. Nigdy nie lubilem gminnego belkotu tandetnych oliwiarów, które potężnieją po każdym kielichu, zeglując w swoje mocarne światy, gdzie przez kilka godzin mogą być najpotężniejszymi ludźmi w szeszczasów.

Był smutny, chociaż nie miało to większego znaczenia, gdyż brakuje w naszym prawie cywilnym, a także mundurowym, ustawy, że jak smutny, to ma się nie napić. Ten smutek był tak namacalny i zaraźliwy, że wolalem nie znać jego imienia i nazwiska, bo jeżeli te dane, nie daj Bóg, zapadną mi w pamięć, on jawiłby mi się na co dzień, nie dając spokoju. W końcu zagrażałby mi los zatraconego włóczęgi z wiecznym smutkiem i rozpaczą, takiego, co gdzie się pojawi, ludzie nabawiają się kołtuna, a krowy tracą mleko. Tak chyba musiał wyglądać Zeus, gdy mu jakiś antyczny numerant podprowadził narzędzia do inscenizowania burz i piorunów.

Pilem ja już z całym światem ludzkiej wyobraźni bachicznej i trzeba dobrze gadać, żeby mnie kupić. Widziałem mistrzów świata, championów, aktorów, polityków, generałów w stanie spoczynku, kochanków dam dworu, hrabiowskich wnuków i szwagrow. Takich, co mydlili bez sensu, i gdy za bardzo sami siebie wpuścili w pokrzywy, przywoływali często wymaginowane postaci historyczne, jakby rozmieniony na bilon przez kulę armatnią generał francuski z pierwszej wojny nagłe mógł wstać i zaświadczyć „zgadza się, to wnuk mojego szwagra z Bychawy, słynny rotmistrz i kawaler”.

Nie mówił nic. Siedział cicho i czulem, że coś w nim się przyczaiło, przyczepnęło i tylko czeka chwili, żeby wyrwać i swym brzemennym życiem poruszyć innych. Nawet go prowokowałem, żeby coś powiedział, ale nie pomogło. Dolałem mu jeszcze kilka maluszków i widząc moje grube okulary, jakby się poruszył, milczał dalej. Jednak oblubienica nasza wspólna, panna najczystszej kondycji, przezczysta lokatorka ludzkich trzewi, kapłanka z kory drzewa dobrego i złego, dziewica rąca w tułach przejrzystych, odkupicielka krwi naszej zatraconej, żalobnica nasza cmentarna, hiena naszych zewłoków, pierścienica naszego cielesnego truchła — wódeczka sympatyczna zrobiła swoje.

Odtajal. — Najgorzej, panie, jak człowiekowi wzrok słabnie, wtedy już czuje się najgorsze — stwierdził krótko.

— Przecież pan nie nosi okularów? — zagadnąłem życzliwie.

— No niby nie, ale na dalsze odległości widzę słabiej.

— I popatrz pan, jak człowiek z dnia na dzień niedołężnieje. Kiedyś wzrok sokoli, a teraz prawie ślepotę. Tak na co dzień jeszcze widzę, tylko wycynowo już nie. Przed

wojną we Lwowie byłem mistrzem w strzelaniu. I co pan na to? Płynię czas i mistrzów nie ma.

Coś go nyło i to tak pracowicie, że przez chwilę wydało mi się, że postyszę jakieś nuty. Ciało, które nabawi się siedmiu krzyżyków, staje się coraz bardziej muzyczne, jak stary lamus skrzypiący drzwiami i podłogą.

— Potem wojna, doszedłem z drugą armią aż do Berlina, cudem żyję. Jeszcze dziś nie wierzę, że to prawda. Z racji moich umiejętności strzeleckich zostałem zaszerogowany jako snajper. Jest to taki żołnierz, który nie pracuje na ilość, tylko rozliczają go z jakości. Mnie nie interesowali wszyscy idący pod kulę, ja wybierałem oficerów i gońców sztabowych. Wiadomo, oficera się zwinie, już nie to wojsko, jak w rodzinie matka. Goniec znowu nie może przejść w żadną stronę, bo w takim przypadku sztab wroga i front mają kontakt i wiedzą, co jest. Tak samo łączność. Leć ten ze szpulą drutu, wtedy musowo go skryć, inaczej doleci gdzie trzeba i już gonią rozkazy: tu ognia mniej, tu więcej; i skręca się nasz radzik od szwabskiego belkotu. Bo to wszystko się w słuchawkach nakłada i jedni słyszą drugich, dlatego są szyfry. Linię telefoniczną Niemców nie po to przecinają po drodze nasi, żeby potem pozwalać na przeciągnięcie nowej. Jednak male plotki nie dają snajperowi większego zadowolenia, tak jakbyś pan urwisów karcił. Najlepiej zagadnąć

do ofierka i wtedy jak jest zdjęty z programu, aż się lepiej człowiek poczuje. Idzie taka chmara i wtedy ofierka trzeba złapać w krzyżek. Należy mu ten krzyżek wygodnie na piersi, żeby nie miał wątpliwości że to polski strzelec, potem skupić się i jak dobrze jest namierzony, ten mały krzyżek z lunety migiem przemienia się w brzozywy. Na odczepnego dostanie może jeszcze żelazny. Ręka jeszcze dobrze nie ostygnie, a już na jego miejsce drugi pcha się po szlify. Rękę trzeba mieć tylko pewną, spokojne nerwy, no i najważniejsze oko. Oko z ręką musi grać jak w zegarku, oko powie, kiedy trzeba zwinąć spust. Niektórzy koledzy brali odrobinkę wódki dla pewności. Ja nie brałem. Moje nerwy i świadomość walki były zawsze tak posłuszne, że nie musialem ich sztucznie uciszać.

Ludzkie ciało posiada rozległe uprawnienia do naśladowania sytuacji, spraw i przedmiotów, więc w ciągu sekundy już miał w ręku prawdziwy karabin z lunetą, składający się z dwóch wskazujących palców, ramienia i przymarzonego oka. Przeszraszyłem się, że powystrzela wszystkie butelki w barze, bo tam właśnie skierował broń i rozliczał szwabskich oficerów, którzy zdołali jakimś trafem umknąć spod kosy, nie namacawszy w jego łufie swojej porcji ołowiu.

— Paru mi przysnęło, ale na pewno padli od innych kul. Najważniejsze to zająć dobre miejsce, żeby nie wy-macali, skąd idą strzały. Najlepsze drzewo, wszystko wiadac jak na dłoni. Szwabski oficer w lunecie wygląda okazale, jakby go w fotoplasticonie oglądał. Widać każdą bruzdę twarzy, ani odrobiny strachu, idzie pewnie jak po swoje. A ja, uważasz pan, już go namierzam i tylko patrzę, czy to trumny pasuje i nawet wtedy jego czucie mnie nie interesuje, nie zastanowisz się, czy on i skąd, jak go zwinę, kto będzie nad nim plakał. On idzie do mnie, ja do niego, normalny pojedynek, pierwszy zawsze górą. Najważniejszy początek. Wychyną tak z okopów i naprzód. Na strzał z normalnej broni jeszcze za daleko. Bez rozkazu nikt nie wystrzeli, nawet najbardziej nerwowo. A tu nagle pyk, lekko, spokojnie, jakby kto szampana otworzył, i cisza. Butna czapa leci w pył, pod nogi biegących. Jakby kto świeczkę zgasił. Dla mnie najgorszy jest drugi gołębiarz, ten co poluje na mnie. Dlatego trzeba często, nawet po każdym strzale, zmieniać miejsce. Jak ciebie wymaca, koniec. Wtedy taki, co ma najwięcej tego junkierskiego szamerunku, mówi: skocz no Hans, na tym dębie w takim i takim kwadracie siedzi strzelec wyborowy, zamknij mu buzię. A Hans nie gapa, oko ma też niezgorsze. Przez cały front trochę nas przeszedł, z całego stanu niewiele zostało. Ale Niemców dziesiąć razy tyle padło. Gdzie tam oni do nas, nie ma porównania. Polski strzelec wyborowy to jest polski. Zawsze większe prawo i spokojniejsze sumienie, bo w obronie własnej. Właściwie w obronie narodu, potem dopiero własnej. Żadne prawo, żaden kościół nie potępi. Wśród tych trzydziestu sześciu, których wyciszyłem, na pewno byli tacy, którzy woleliby zasiąść na łące, pogadać, pospiewać i nikomu nie robić krzywdy. Ale szła machina, szli i oni. Może nawet tacy nie chcieli zabijać.

Posmutniał nagle. Jakby zrozumiał, że tamten czas nie wróci, a jego oko nie to, co kiedyś.

— Tak szczerze mówiąc, jakby dziś przyszło co do czego, chyba bym nie wyrobił. Wzrok za słaby. Nawet nie honor opowiadać, jak było. Najlepiej niech pan nikomu nie mówi, że spotkał pan dziadka-snajpera. Słuch, tak, jeszcze u mnie ujdzie. Ale on nie jest tak potrzebny snajperowi jak wzrok.

Może dlatego był smutny w tej swojej minionej chwale. On i jeszcze kilku, co przeżyli i nie dali się trafić. I może nawet żalował, że nie przekroczył z tamtymi tej ostatniej granicy echa, za którą rozmadzają się wszystkie dźwięki, bo nie ma nic bardziej niedoskonałego, jak człowiek wchodzący w mrok, kiedy opowiada o dniu jasnym.

(Opowiadanie z tomu „Główna gonitwa”, który ukaże się nakładem Wydawnictwa Lubelskiego).

LUBELSKIE POWINOWACTWA

W roku 1978 Wojewódzka Biblioteka Publiczna im. Hieronima Lopa-
cińskiego w Lublinie pozyskała od kilkudziesięciu pisarzy z całego
kraju wypowiedzi o związkach, ich biografii i twórczości z Lubel-
szczyzną. Planowano bowiem wydanie informatora na ten temat.
Ponieważ edycja nie doszła do skutku, przeto — za zgodą autorów
— publikujemy niektóre teksty (lub ich fragmenty) w wyborze i opra-
cowaniu Macieja Podgórnego i Jana Smolarza.

Red.

JAN DOBRACZYŃSKI

W KWIETNIU 1935 r. przyjecha-
łem do Lublina, aby objąć sta-
nowisko inspektora w Lubel-
skim Międzykomunalnym
Związku Opieki Społecznej. Prezesem
Związku był ówczesny starosta powia-
towy lubelski, Józef Dańkowski. Pra-
cowałem jako inspektor zakładów o-
piekuńczych, rozrzuconych na terenie
województwa lubelskiego, do paździer-
nika 1938 r.

Mieszkając w Lublinie (początkowo
na Lemszczyźnie, potem przy ul. Szop-
pena 41), pracowałem także literacko.
Tutaj pisał moje dwie pierwsze
powieści: „Ottonowa obietnica” (po-
wieść nagrodzona na konkursie lite-
rackim Generalnego Instytutu Akcji
Katolickiej w Poznaniu w 1938 r., ni-
gdy nie wydana, gdyż zniszczona w
1939 r.) oraz „Dwa stopy” (Panteon,
Warszawa 1947). Ta ostatnia powieść

powstała dzięki materiałom zaczerp-
niętym z biblioteki im. Lopa-
cińskiego. W Lublinie napisałem także dwa ese-
je literackie: „Bernanos — powieściopisarz”
(wyd. KUL 1937) i studium o
Papimim pt. „Lawa gorejąca”.

Wojna rzuciła mnie znowu na teren
Lubelszczyzny. Zostałem zmobilizowa-
ny jako oficer 2 PSK w Hrubieszowie.
W połowie września 1939 r. znalazłem
się w Lublinie jako zastępca twórcy
i dowódcy oddziału ochotniczego mjr

Juliusza Dudzińskiego. Brałem udział
w bitwie pod Konopnicą i w obronie
miasta (później o tym w mojej auto-
biograficznej książce „Tylko w jed-
nym życiu”). Ranny pod Chelmem,
dotarłem do zakładu wychowawczego
w Turkowicach.

Gdy w okresie okupacji zająłem się
akcją ukrywania dzieci żydowskich,
przekazywałem wydobyte z warszaw-
skiego getta dzieci właśnie do zakła-
du w Turkowicach.

ZBIGNIEW SAFJAN

DZIECIŃSTWO i wczesną mło-
dość spędziłem w Biłgoraju i
Białej Podlaskiej. Byłem uc-
niem znakomitej szkoły —
gimnazjum im. I. Kraszewskiego, któ-
rą chętnie i często odwiedzam. Mój
ojciec do końca swego życia pracował
właśnie w Białej jako lekarz, nie więc
dziwnego, że nie było niemal miesiąca
w ciągu ostatnich trzydziestu lat bez
mego pobytu na Podlasiu lub w Lu-
blinie, który jest miastem rodzinnym
mojej żony.

Lubelszczyzna jest dla mnie jednak
nie tylko ziemią dzieciństwa i młodoś-

ci. Jej ludzie i krajobrazy zawsze mi
bardzo bliskie, są nieustannie obecne
w moich książkach. W roku 1944 by-
łem także na Lubelszczyźnie i ten o-
kres najtrudniejszy starałem się opi-
sać w powieści „Zanim przemówię”.
Powstawanie dywizji 2 Armii Wojs-
ka Polskiego, w której służyłem,
pierwsze kroki w budowie zupełnie
nowego państwa, niełatwy zwrot psy-
chologiczny, który dokonywał się w
sercach i umysłach ludzkich —
wszystko to łączy się dla mnie naj-
ściślej z ziemią lubelską.

Wiesław Lachiewicz

NIE TAKIE TO PROSTE

garściami
z ziaren smak wygnieść
utrwalić zapach kromki
w dzieży zamknąć tajemnicę powstawania
niech rośnie żniwo
a potem
rozdzielić

córeczko moja
pamiętnik twój
zapisuję cały codziennie...
przyjdzie czas
kiedy już tylko na jednej kartce
można będzie wpisać myśli

mama

poznawaj
kto nie poznaje — nie pamięta
pamiętaj
kto nie pamięta — błądzi
zapomnisz — pamiętaj
jest ktoś kto cię dobrze zna

ojciec

W PAMIĘTNIK

STANISŁAW Ciesielczuk, poeta związany
z ziemią lubelską, urodził się w Sławęc-
inie (dziś przedmieście Hrubieszowa) 3 czer-
wca 1906 roku jako syn niezbyt zamożnego
rolnika. Życie swe dzielił między Warszawę i wieś
rodzinną, do której wciąż powracał i gdzie zmarł
26 listopada 1945 r.

Podniósł poeta hrubieszowski chatę rodzinną do
rangi symbolu ciszy i spokoju, a nawet stworzył
pewien archetyp człowieka zrosniętego na zawsze
z tym, co w jego życiu najlepsze, z rodzinnym
gruntem, na którym wyrósł z korzeni przodków
i zawsze będzie doń wracał:

Idącemu na przelaj w szarugi poświatach
Po twardych grudach trudów, przez wądoły
znużeń,
Przetnie mi kiedyś drogę wiejska, przysadzista
Chatupa...

Nie sprzyjał jednak los „odmieńców”, który nie
pasował do swojego wiejskiego środowiska, ani
też nie mógł odnaleźć się na miejskim gruncie
Warszawy, gdzie trzeba było walczyć o pozycję,
pieniądze, uznanie. Zachowaniem odbijał od ru-
chliwego, pientałego się dyskusjami środowiska —
napisał o nim Flukowski.

Formalnie związany z „Kwadrą” (choć
trzymał się raczej na uboczu, a w twórczości swej
zachował pewną odrębność), z tą grupą poetycką
utrzymywał kontakt aż do końca jej istnienia. Na
łamach „Kwadrę” drukował swoje wiersze,
uczestniczył w wieczorach poetyckich, brał czasem
udział w dyskusjach, choć bardzo umiarkowanie.
bo przeważnie milczał i przysłuchiwał się. Bywał
tam przy stoliku syna chłopca spod Hrubieszowa,
szczęśliwy Ciesielczuk, grzeszny i cichy blondynek
o subtelnych rysach twarzy, autor liryków wzbud-
zających szczyry zachwyt dla piękna istnienia,
a zarazem osnutych melancholią zrodzoną z prze-
czucia śmierci — wspomina Bibrowski.

Często uciekał do rodzinnej wsi pod Hrubiesz-
owem. Przyjeżdżał nie tylko podczas wakacji, ale
także w ciągu roku, pozostając na dłużej wśród
swoich, a przede wszystkim, niepełnie swoich. Dość
chorowity, do żadnej pracy się nie nadawał. To-
też od początku traktowano go we wsi z lekcewa-
żeniem i pobłażaniem, bądź nawet z niechęcią.

Poszedł więc uczyć się do Gimnazjum imienia
Staszcia w Hrubieszowie. Należał do uczniów ce-
lujących. Był w szkole ceniony, zwłaszcza przez
uczącego go polonistę Adama Szczerbowskiego,
publicystę, krytyka i poe-
tę. Jemu w dużej mierze
zawdzięcza należyte kształtowanie intelektu Ciesiel-
czuka. Z inicjatywy tego pedagoga powstała w Hru-
bieszowie w 1923 roku Kółko Literackie Młodzieży
Szkolnej wydające „Pakowie”, które ukazywało
się do roku 1929, a redagował je Ciesielczuk. Na
łamach tego pisma drukował swoje pierwsze utwo-
ry. Ukończył Gimnazjum w 1923 roku i zapisał się
na polonistykę w Uniwersytecie Warszawskim.
Mieszkał przy ulicy Freta 44 w wynajętym kącie
u praczek, za co udział jej dzieciom korepetycji.
Przy stole kuchennym pisał swoje wiersze. Kłopoty
materiałowe zmuszały go do podejmowania róż-
nych zajęć: pracował w fabryce cygar, zapisywał
członków do PCK, trudnił się pracą bankową,

Odmieniec

Aleksandra Wszolek

był korektorem w „Ekspresie Wieczornym”. Swej
twórczości nie mógł traktować w tamtych warun-
kach jako zawodu. Jego osamotnienie rzuca ponure
światło na stosunek naszych czasów do prawdziwej
poezji i wzniosłości ducha, sprawy tak odmiennej
od pięknoduchostwa — pisał w 1938 roku Zawo-
dziński.

W 1926 roku na wieczorze autorskim St. Ryszard
Dobrowolski poznał Ciesielczuka i wraz z A. Ma-
liszewskim tworzą już załóżek „Kwadrę”. Odtąd
będzie mógł drukować swoje wiersze w wydawa-
nym przez tę grupę czasopiśmie. Kilka utworów
drukują także w „Robotniku”.

Dwa pierwsze tomiki swych wierszy — „Chaty
w obłokach” (1927) i „Wies pod księżycem” (1928)
wydał Ciesielczuk w Hrubieszowie, a „Psa kosmo-
su” (1928) oraz „Głazy i struny” (1931) — w „Bi-
bliotece Kwadrę”. Potem zostały wydane jeszcze
dwa następne tomiki poezji: „Pentaptyk lapidarny”
(1935) i „Teatr natury” (1937). Napisał także po-
wieść „Zniwiarze”, której bohaterowie mieli swe
pierwotzory w mieszkańcach wsi Sławęcina, ale
zaginięła ona podczas wojny. Obszerny artykuł, no-
szący tytuł „Społeczne oblicze Hamsuna”, opubli-
kował w „Nowej Kwadrę” w 1937 roku.

Powrócił poeta do wsi rodzinnej w 1939 roku i
tu spędził okupację. Trawiła go już gruźlica spo-
wodowana długimi latami niedostatku i zaniedba-
nia. Próbował pracy zarobkowej w biurze, a także
jako zaopatrzeniowiec przy pracach drogowych.

W marcu 1944 roku Ciesielczuk wyjeżdża do
Warszawy i tu dostaje zapalenia płuc. W końcu
sierpnia wyjeżdża na Podhale, gdzie we wsi Masz-
kowice koło Nowego Sącza ciężko chorym zaopie-
kował się górale. Stąd po wyzwoleniu wraca do
Hrubieszowa nieuleczalnie już chory: stwierdzono
rozpadową gruźlicę.

Pochowano go na cmentarzu w Hrubieszowie. Na
betonowej płycie grobu widnieje napis złożony z
fragmentów jego wierszy:

Czasie, czasie — ulatasz, ulatasz!
Smucisz, cieszysz, tworzysz, kruszysz w miat...
Przeszły lata, przedjdą jeszcze lata —
Będzie śpiew twój ludzimi dalej brzmiał.

W całej twórczości Ciesielczuka da się zauważyć
supremację treści nad formą, zresztą tradycyjną,
bez cienia dążeń nowatorskich tak charaktery-
stycznych dla wielu poetów dwudziestego wieku.
Jest to kontynuacja poezji tradycyjnej, ale konty-

nuacja z wyboru, co wyraźnie potwierdza Ciesiel-
czuk w słowach:

Nie dla samych rymów są te rymy.
Jednym chodzi w wierszach tylko o wiersze
Innym chodzi o świat cały, o wszystko...

Poezja Ciesielczuka dotknęła wszystkiego, co
najbardziej ludzkie. Po zafascynowaniu pięknem
ziemi, romantycznym sporze o dobro dla człowieka
i sprawiedliwość, po pełnych dynamiki erotykach,
przyszła kolej na śmierć jako temat równie bliski,
bo nieunikniony:

Kłękam, kłękam coraz smutniej na ziemi
Z żył wypływa krowawe złoto sił,
Pójdę jeszcze chwilkę dniami białymi
Tam — daleko — skąd wyszedłem był...

Wędrowka poety zatacza mityczny krąg: ziemia
— człowiek — kosmos, a u jej kresu usiłuje Cie-
sielczuk śmierć wpisać w odwieczny „teatr natu-
ry”, a nawet tragiczny los człowieka złagodzić. W
ostatnich tomikach następuje próba „oswojenia”
się ze śmiercią poprzez wielokrotne powtarzanie
tego słowa i wyznaczenie mu należnego miejsca w
naturalnym porządku trwania przyrody. Śmiercią
zakwita życie — napisze poeta w jednym z ostat-
nich swych wierszy.

Poezja Stanisława Ciesielczuka jest pamiętni-
kiem lirycznym, pewną odmianą autobiografii, tak
częstym zjawiskiem w kręgu twórczości poetów po-
chodzenia chłopskiego. Zawarł w niej wrażliwość
na piękno obok problematyki filozoficznej. Posta-
wa poety oraz wywodzące się z tradycji środki
wyrazu zdecydowały o pewnej jego odrębności i
osamotnieniu nawet na tle kwadryganckiej grupy
poetów. S. Lichański nazwał go jednym z najbar-
dziej niepodległych — a co za tym idzie — także
jednym z najbardziej samotnych poetów doby mię-
dzywojennej. Potwierdzają to słowa zawarte w
fragmentie listu Ciesielczuka: bez kompromisu!
Kto własną prawdę zdradza, prawdę, którą najgłę-
biej odczuwa w zetknięciu się ze światem — dla-
tego, że inni jej nie rozumieją lub zrozumieć nie
chcą, że od niej z tego względu ustępuje — ten
popelnia względem siebie największą podłość.

J. Krzyżanowski napisał o autorze „Teatru na-
tury”: Sześć tomików jego poezji wyznacza mu
jedno z najwybitniejszych miejsc w drugim poka-
leniu liryków międzywojennych, pokoleniu po-
skamandrowskim, tak że śmierć Ciesielczuka nale-
ży do najdotkliwszych strat literatury polskiej w
latach ostatnich.

Miłośnicy ziemi i kultury hrubieszowskiej sta-
rają się nie zapomnieć o poecie. Nazwano w Hru-
bieszowie ulicę jego imieniem, Towarzystwo Re-
gionalne Hrubieszowskie zbiera pieczęlowicie po nim
pamiętki, urządzone dwie sesje Ciesielczukowskie.
Dzięki staraniom przyjaciół, dawnym członkom
„Kwadrę”, zorganizowany został w 1963 roku
przez ZLP w Domu Literatury w Warszawie wie-
czór poświęcony twórczości i życiu Ciesielczuka.
W 1965 roku wydano jego „Poezje zebrane” po-
przedzone wstępem S. Flukowskiego i S. Lichań-
skiego.

Czyżby „Czyżby?”

Maria Bechzyc-Rudnicka

NA skutek różnych przyczyn „subiektywno - obiektywnych” stało się tak, że dopiero po uroczystym otwarciu nowego sezonu w Teatrze im. J. Osterwy monumentalnym spektaklem „Cyda” odbyła się w ostatniej dekadzie października, poza siedzibą teatru, znacznie skromniejsza premiera sztuki Jacka Janczarskiego „Czyżby?”, której próby były dość zaawansowane przed przerwą urlopową, albowiem przeznaczono tę przystępną pozycję na wrzesień. Odnajdujemy więc dla ścisłości (w przewidywaniu przyszłych ocen repertuaru sezonu 1980/81), że komedia „Czyżby?” należy jeszcze do projektów repertuarowych sprzed zmiany dyrektora.

A teraz ad rem. Jacek Janczarski (syn poety, Czesława Janczarskiego, którego utwory drukowaliśmy nieraz w „Kamieniu”), urodzony na Lubelszczyźnie, współpracownik warszawskiego kabaretu „Pod Egidą”, autor mnogich piosenek, monologów, skeczy, związanych też od lat dziesięciu z Programem III Polskiego Radia (słuchowiska cykliczne, powieści), jest już także popularnym dramaturgiem. Znamy tytuły bodaj sześciu jego wziętych sztuk. Debiutował jako dramaturg w 1974 r. w krakowskim Starym Teatrze.

Komedie „Czyżby?”, nagrodzoną w konkursie w Częstochowie, grano w sezonie 1978/79 również w Elblągu i Olsztynie. Jest to rzecz typu sztuk demaskatorskich, które weszły na nasze sceny po „Protokole pewnego zebrańia” Gelmana. Można by nazwać ów rodzaj dramaturgii „naturalizmem socjalistycznym”, mając oczywiście na myśli socjalizm wypaczony w pewnych niesławnych momentach naszej rzeczywistości. Tyle że Janczarski przemieszczał swe klisze fotograficzne z „wizjami” świadczącymi o „awangardowych” aspiracjach stylistycznych.

Sztuka jest napisana zwięźle. Oryginalność jej polega głównie na nietypowym, zgola paradoksalnym punkcie wyjścia.

Pewien zdolny inżynier-rolnik, absolwent Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie, rezygnując z rysującej się w uczelni perspektywy kariery naukowej, postanowił osiedlić się w terenie. Obejmuje gdzieś w okolicy Szczytna odpowiednie stanowisko dyrektora „pegeeru”.

Dzięki swej wyjątkowej energii tudzież odważnemu eksperymentowaniu uzyskał zaledwie w trzy lata wyniki wręcz fenomenalne. Słuch o nich dotarł do warszawskiej TV, która zapowiada rychło odwiedziny Kielbowników. I, o dziwo — tu się zaczyna „dramat” inżyniera Podlewskiego, bo nasz bohater wzdraga się przed popisami na ekranie. To nic, że pochodząc z tzw. „dobrego domu”, zna obce języki, gra na fortepianie, wojażował za granicą, lubuje się w Chagallu, teraz on woli wiejskie zacisze. Ożenił się z urodziwą wiejską dziewczyną, kocha swoją Zdzichę. Przebywa wyłącznie w towarzystwie swych pracowników bądź zwierzchników (bynajmniej nie intelektualistów), przy okazji popija z nimi, krótko mówiąc — „chamieje z wyboru” i... „dla wygody”.

Otóż, o ile występujący w sztuce „Inspektor Walczak” jest „z życia wzięty”, o tyle dyrektor Podlewski, którego autor uwikłał w sytuację paradoksalną, jest postacią wydumaną. W sztuce publicystycznej, jaką napisał Jacek Janczarski, Podlewski pełni po prostu zadanie porte-parole autora. Oświecony entuzjasta-pracusi mógłby uchodzić za bohatera pozytywnego (wprawdzie raczej nie z naszej epoki), lecz skądinąd sztucznie modeluje swój „domowy” tryb życia niby to na zwolennika „średniactwa”, by w stosownej dla autora chwili zamienić się przed mikrofonami w demaskatora, który powie:

Ja myślę, że ważną rzeczą jest eliminacja zwyczajnej głupoty. A także przemodelowanie obowiązujących ciągłych wzorców [...]. Po prostu jeszcze ciągle ludziom wydaje się, że najlepiej i najwygodniej być średnim. Przeciwnym. Średniactwo jest wygodną tarczą. Jestem średni, ani lepszy, ani gorszy niż inni, i nikt się nie będzie mnie czepiał. Nieuchronnie następuje proces równania w dół [...] — ludzie nieprzeciętni mają na ogół kłopoty. I wiem, dlaczego je mają. Ponieważ ich nieprzeciętność stanowi prawie zawsze dowód przeciętności innych. I ci inni się tego boją. No to w leń tego cwaniaczka, który mi się wychylił. W leń, bo jest niebezpieczny! Bo narobi kłopotów, naruszy jakiś układ, a może nawet cały ciąg układów!!! Układów starannie wypracowanych... Opitych ordynarną wódką i drogimi kontakami. I co!!! Godzić się z tym? Uważać

głupka?!!! A godzić się z tym — to znaczy być po prostu nieuczciwym, cynicznym lajdakiem!!! Nie wolno chcieć być średnim. Nie wolno. I to właśnie chcę moim ludziom wytłumaczyć. Tylko że dla nich ważne są inne argumenty. Nie jakieś gadu, gadu... Po prostu złotychki!

— Jakież to szczęście, że ta sztuka przestaje być aktualna — zawołały po usłyszeniu powyższej tyrady. — Czyżby? — mruknął sceptyk — „Jeszcze poczekajmy, jeszcze się nie spieszymy, jeszcze można dużo znaleźć...” — zanucił Duch Dziadka, nawiedzający Janka Podlewskiego.

Janka, Marka, Wiadka, Mirka, Miętka, czy jak go tam jeszcze nazwie „wapniak” — Dziadek, naśladowca z inicjatywy autora Różewiczowego Wujka. Chwył, do którego się Janczarski na swój sposób przyznaje, co dało asumpt recenzentowi „Głosu Olsztyńskiego” do ozdobienia swej relacji tytułem: „Wiejska „Kartoteka”. Ejże, panie Redaktorze!... Ale nie wadźmy się o ciężary gatunkowe, skoro bądź co bądź „Czyżby?” jest sztuką — powtarzam — zwięźle napisaną. A igraszki z imionami są rzeczywiście zapożyczone z autentycznej „Kartoteki”. I gdy jesteśmy przy pożyczkach od Tadeusza Różewicza, nasuwa mi się uwaga, że z kolei pierwszy dialog Walczaka z Podlewskim przywołuje na pamięć fakturę dialogu w „Dramacie postaw moralnych”. Nie mówię natomiast o „retrospekcjach”, bo są od dawna res nullius.

Poruszone przez siebie na wyraz gorzkie sprawy zaprezentował Jacek Janczarski w szacie komediowej. Nie wiem, czy dobrze, by właściwszy przy oglądaniu pokazanego wycinka naszej rzeczywistości niepokój zastępowała Schadenfreude? Tak czy inaczej, doświadczony, bardzo ceniony inscenizator, Józef Słotwiński, wyreżyserował sztukę Janczarskiego (przy współpracy Zbigniewa Szejmmana) zgodnie z intencjami autora. Powiedzieliśmy zapewne sobie, biorąc ją na warsztat: „Pozostawmy przerabianie komedii na tragedię i vice versa reżyserom ultraawangardowym. Autor chce komedii, niech ją ma”. I Słotwiński nie poskapił przednich pomysłów komediowych. Na widowni dużo śmiechu, zwłaszcza podczas sceny upijania Inspektora Walczaka oraz przygotowań do odwiedzin ekipy telewizyjnej.

Aktorzy Teatru im. J. Osterwy przemienili się w kolektyw pegeeru i w inne dramatis personae — z należytym „dystansem”. Zbigniew Szejmman, z rolą i wykonania, wysuwa się na czoło obsady. Ożywia on skutecznie Dyrektora Podlewskiego, którego postać została wyżej scharakteryzowana. Inspektor Walczak w wykonaniu Włodzimierza Wiszniewskiego — to celna karykatura pewnego typu urzędnika-wapniaka. Szczera, uczciwa, „robotna” Zdzichę, sympatyczną z jej wywołującymi pobłażliwy uśmiech upodobaniami „artystycznymi” — trafnie odtworzyła Jolanta Kozak. Może przesadnie jest ustawienie na ramola postaci Starożytności (Ludwik Paczyński), za to Duch Dziadka (Krystyn Wójcik) popisał się wcale nie „zaświatowym” humorem. Siabo zarysowaną przez autora postać młodego „kontestatora” ratował jak mógł Kazimierz Górecki (którego talent dostrzegaliśmy w „Czapie” Janusza Krasnińskiego). Nie zawiedli też: Henryk Gońda (pocziwy, choć zbyt często „nie wylewający za kołnierz” traktorysta Galka) i Stefan Lipiec — jako upiór nazwany chyba ze zgrzytliwą ironią Człowiekiem. Należyście rzeczowym księgowym, Bartkowiakiem, był Jan Uryga. I wreszcie panie: Barbara Wronowska, Grażyna Kłodnicka oraz Jadwiga Jarmuła — stanowiły bez wątpienia dobrze dobraną „ekipę telewizyjną”.

Scenografia Liliany Jankowskiej przedstawia wnętrze wiejskiej chaty, którą cechuje, według życzenia autora, „pomieszczenie z poplątaniem” smaku Podlewskiego i guścików Zdzichy. Zgoda na koncepcję, tylko serce mi się krajało z powodu beznadziejnego splaszczania tej dekoracji na płytkiej zamajskiej scenie...

Nie, to nie błąd zecerski — premiera „Czyżby?” rzeczywiście musiała odbyć się poza Lublinem.

Dnia 28 sierpnia br., podczas uroczystego otwarcia sezonu kulturalnego 1980/81, usłyszeliśmy miarodajne zapewnienie, że do dyspozycji Teatru im. J. Osterwy zostaną wkrótce oddane pomieszczenia na I piętrze Miejskiego Domu Kultury. Uzyskiwał w ten sposób nasz teatr dramatyczny, oprócz dość pojemnej sali widowiskowej, zapieczętowanej na godziwą prezentację sztuk kameralnych i na wznowienie w odpowiednim momencie — działalności eksperymentalnej.

Niestety, od chwili owej radośnej informacji upłynęło z górą dwa miesiące, w czasie których Teatr im. Osterwy nie mógł wkroczyć do MDK celem przeprowadzenia tam potrzebnych adaptacji. Jak długo jeszcze wypadnie dyrektorowi I. Gogolewskiemu czekać na przyrzeczoną mu drugą scenę, bez której nie może rozpocząć realizacji szeregu ważnych zamierzeń artystycznych?

WIERSZE POETÓW Z NRD

W TŁUMACZENIU BOŻENY KOWALOWEJ

Axel Schulze

JEZIORO

Gdy wreszcie znajdziemy jezioro, to przed laty opuszczone,
zanurzymy się w gąszcz wodorostów, porastających wapienne dno,
światło zmierzchu nas obejmie, które nie daje cienia,
aż na powrót wstąpimy w blaski tego lata,
z oddali świecą lasy w naszą stronę,
w pilśniowych krzewach czarnego bzu gubią się drogi.
Spójrz na palenisko ze szerniałych kamieni
i próchniejące drzewo w pozbawionych światła zatokach,
otoczone blaskiem i ocienione przez jezioro, które przepływamy. Słone zielsko obejmuje nas
i listowie wielkości dłoni. Plyniemy na spotkanie brzegu,
wokół nas duszący zapach kwiatów, pęcherzyki gazu
biją z pokładów wyblakłych kamieni,
zanurzone ramiona stają się lekkie i obce.
Ciepły jest piasek pod stopami,
gdy woda spływa z nas, a my zbliżamy się do lasu. Wokół drzew pną się
do góry porosty, między konarami zawisło powietrze jak wibrująca ciecz, w którą zanurzamy się na nowo, odświeżeni w jeziorze.

IDYLLA PRZY ŚNIADANIU

Zimna barwa stołu,
woń pokrojonych ogórków,
pogaduszki, zamknięte okno,
cenne błahostki na nowo odkryte,
z wami żyć i w pokoju.

Axel Schulze, ur. 1944 r. we Frese koło Ascherleben, Bryk, tłumacz, krytyk, autor reportaży, słuchowisk, krótkich opowiadań oraz trzech tomików wierszy mieszka i tworzy w Halle-Neustadt.

Lutz Rathenow

WIECZOREM

Wieczorem odnajdujemy swoje ręce. Twoje palce budują gniazdo w moich włosach. Słowa cisną się na usta:

namacalna tkliwość
bezcelowe marzenia
i
twoje ciało, tak lekkie
zanim ulegnie.

WYBACZ PROSZĘ

Nie będę delikatny, nie potrafię eicho i powściągliwie kochać. Dwie ręce sięgają do twoich warg, burzą sen twego ciała. Będę bezwzględny, aż przełamie milczenie twych ust, zabrzmi jęk i przetoczy się przez nasz pokój, rozpocznie się trzęsienie ziemi. a cały nasz świat stanie na głowie.

Lutz Rathenow, ur. w 1962 r. w Jenie, absolwent tamtejszego uniwersytetu, mieszka i pisze w Berlinie.

W PRADZE — po rozmowach Lipskiego z Hitlerem z 20 IX 1938 roku — znów nastąpiły wahania. Przejściową zmianę nastrojów spowodowało uzyskanie 20 września pozytywnej odpowiedzi na zapytanie prezydenta Benesa, czy Związek Radziecki przyjdzie Czechosłowacji z pomocą w wypadku agresji niemieckiej. Faktycznie ZSRR zgromadził na swej granicy zachodniej 30 dywizji oraz postawił w stan gotowości swoje jednostki lotnicze i pancerne. Rząd Hodży posłał więc państwu zachodnim zdecydowaną odmowę zastosowania się do ich planów podziału kraju. Poseł francuski interweniował natychmiast, grożąc Czechosłowacji wypowiedzeniem wojskowego sojuszu, który w praktyce i tak został już przez Francję zerwany. Zmaltretowany Hodża tego samego wieczoru oznajmił francuskiemu posłowi, że wycofanie się Paryża ze zobowiązań będzie dla Pragi sygnałem do kapitulacji.

Przychodzi bogaty w wydarzenia dzień 21 września. Na forum Ligi Narodów w Genewie przedstawiciel ZSRR występuje w obronie zagrożonej Czechosłowacji ale jego głos trafia w próżnię. Chamberlain po raz drugi wylatuje do Niemiec na spotkanie z Hitlerem w Bad Godesberg. Polski poseł Papee składa w Pradze notę z 24 aniem załatwienia postulatów polskiej ludności w Czechosłowacji w sposób identyczny, jak będą załatwione sprawy terenów zamieszkałych przez ludność niemiecką. Równocześnie rząd polski protestuje w Londynie i Paryżu przeciwko pominięciu Polaków w Czechosłowacji w deklaracji francusko-brytyjskiej ogłoszonej trzy dni temu w Londynie.

Rząd Czechosłowacji co chwilę odbiera złe wiadomości, ale na ulicach Pragi tłumy niespokojnych Czechów manifestują wolę obrony swej niepodległości. Rząd obraduje nieprzerwanie, godzina za godziną. Wreszcie przed wieczorem, wbrew oczekiwaniu społeczeństwa, zapada decyzja przyjęcia wszystkich warunków niemieckich.

Ale gra nie jest skończona. Społeczeństwo czeskie nie chce przyjąć kapitulacji do wiadomości. Tłumy demonstrantów domagają się ustąpienia kapitulacyjnego rządu Hodży. 22 września premier składa dymisję, a przy aplauzie tłumów funkcję premiera obejmuje główny inspektor sił zbrojnych gen. Syrowy. Praga znów rozbrzmiewa hasłami obrony przed agresją.

Sytuacja była niezmiernie napięta. W Sudetach w dalszym ciągu toczyły się walki w henleinowcami, a polski Oddział II organizował ruchawkę na Zaolziu, dokąd przetrzucił kilkadziesiąt drobnych patroli. W Polsce Związek Powstańców Śląskich rzucił hasło sformowania Ochotniczego Korpusu Zaolzańskiego, wzorując się na metodach Henleina. Przez polskie miasta zaczęła się przetaczać fala demonstracji organizowanych przez władze, pod hasłem przyłączenia Śląska Zaolzańskiego do Polski.

Chamberlain w Bad Godesberg konferował z Hitlerem, któremu na wstępie oznajmił:

„Na wszystkie pana żądania uzyskałem zgodę Francuzów i Czechów”.

Kancelerz Rzeszy nawet nie dał mu odezwać swej satysfakcji, tylko oschle odparł:

„Wasz plan mi nie odpowiada. Nie chcę żadnej komisji do wykreślenia granicy na mieszanych narodowo terenach, jeszcze do tego z udziałem Czechów i państw neutralnych. Żądam zgody na natychmiastowe wkroczenie wojsk niemieckich, a także na załatwienie żądań Polski i Węgier”.

Kancelerz miał przygotowaną mapę terenów, które chciał przyłączyć do Rzeszy. Po targach Chamberlainowi udało się jedynie przesunąć termin ewakuacji tych terenów przez Czechów z 28 września na 1 października i z tym odjechał do Londynu.

Wśród nerwowych wydarzeń i chwiejnych decyzji kontrastowo zabrzmiał głos ZSRR. Polski ambasador w Moskwie Grzybowski, otrzymał oficjalną notę, w której rząd radziecki ostrzegł Polskę, że zaatakowanie przez nią Czechosłowacji pociągnie za sobą wypowiedzenie paktu o nieagresji. Równocześnie prezydent Benes otrzymał zapewnienie rządu ZSRR, że wystąpienie Francji w obronie Czechosłowacji pociągnie za sobą analogiczny krok Związku Radziec-

kiego. Oświadczenie radzieckie mówiło, że ZSRR wysłapi nawet bez Francji, o ile do obrony Czechosłowacji wezwie kraje Liga Narodów.

Reagując na tę zachętę do obrony swej integralności rząd czechosłowacki 23 września ogłasza powszechną mobilizację. Przy entuzjastycznym społeczeństwa czeszy rezerwiści śpieszą pod broń.

Poczynania ZSRR zmuszają Zachód do zachowania twarzy, przez stworzenie pozorów dotrzymania swych zobowiązań. Francja powołuje pod broń milion rezerwistów, Wielka Brytania doprowadza do bojowej gotowości swoją flotę. Trzeba już tylko jednej iskry, żeby Europa stanęła w ogniu wojny. Ale przychodzi interwencja — pośpiesznie działają zachodnio-europejscy strażacy. Posłowie Francji i Wielkiej Brytanii znów grożą Benesowi:

„Jeśli Czesi zjednoczą się z bolszewikami, wówczas wojna może nabrać charakteru krucjaty przeciw bolszewikom”.

Wymowa tego twierdzenia jest jednoznaczna. Czechosłowacja, broniąc się przed agresją, mogła się znaleźć na pierwszej linii atakowanej wspólnie

przez hitlerowskie Niemcy i Polskę oraz zachodnich aliantów! Do obrony takiej pozycji rząd czechosłowacki nie ma ani sił, ani chęci. W jego łonie znów narastają tendencje do kapitulacji.

24 września w dalszym ciągu toczą się walki w Sudetach oraz działa polska dywersja na Zaolziu. W Pradze rząd rozpatruje warunki przesłane przez Chamberlaina wraz z mapą obszarów żądanych przez Niemcy. Czeska wola oporu jeszcze nie wygasła, władze zarządzają zawieszenie komunikacji kolejowej i telefonicznej z Niemcami i Polską, a następnego dnia rząd gen. Syrowego odrzuca niemieckie żądania. Mniej zdecydowanie, ale również negatywnie brzmi jego odpowiedź na notę polską.

Hitler jeszcze boi się rozpętania światowej pożogi, ucieka się do wypróbowanej taktyki kłamstw uspokajających światową opinię publiczną. W przemówieniu wygłoszonym w berlińskim „Sportpalast” obwieszcza:

„Stoi przed nami ostatni problem, który musi być rozwiązany i będzie rozwiązany. To jest ostatnie żądanie terytorialne, jakie mam do postawienia Europie, ale jest to żądanie, z którego nie zrezygnuję i które, tak Bóg chce, wypełnię (...) Zapewniałem Chamberlaina i powtarzam to tutaj, że gdy ten problem zostanie rozwiązany, dla Niemiec nie będzie już w Europie żadnego problemu terytorialnego”.

Była to równocześnie odpowiedź na wystosowany tego dnia apel prezydenta USA Roosevelta o zachowanie pokoju i załatwienie spornych spraw na międzynarodowej konferencji. Apel ten był spóźniony, gdyż Zachód już los Czechosłowacji przesądził, a Foreign Office ogłosiło komunikat, w którym stwierdziło wyraźnie:

„Zwrot Niemcom terytoriów sudeckich został już postanowiony przez rządy francuski, brytyjski i czechosłowacki”.

Termin wkroczenia wojsk niemieckich do Sudetów jest ustalony, ale

Londyn zwraca się o mediację do Mussoliniego, który propozycję przyjmuje. „Duce” telefonicznie rozmawia ze swym berlińskim ambasadorem Attolico, któremu daje zlecenie:

„Idź natychmiast do kancelerza Rzeszy Niemieckiej i powiedz mu, rząd angielski powiadomił mnie przez lorda Perthę, że przyjmuje moje pośrednictwo w sprawie Niemców sudeckich. Rozbieżności są niewielkie. Powiedz „führerowi”, stoję za nim z faszystowskimi Włochami; może na mnie polegać! Ale powiedz mu, uważam przyjęcie pośrednictwa za bardzo korzystne!”.

Poza zaangażowaniem Włoch, Chamberlain zgłosił gotowość do trzeciego spotkania z Hitlerem. Równocześnie z kancelerzem Rzeszy rozmawiał ambasador Poncet, przyrzekając mu dalszą interwencję Francji na rzecz wcielenia Sudetów do Rzeszy. Pod wpływem tych negocjacji Hitler pozornie zgadza się odłożyć o 24 godziny atak wojsk na Czechosłowację.

Prezydent Benes szuka ostatniej deski ratunku, zdobywa się na gest polityczny o niewymiernym znaczeniu. Umyślnym samolotem wysłał do Warszawy odrębne pismo do prezydenta Mościckiego, proponując mu zawarcie unii polsko-czeskiej i wspólne przeciwstawienie się niemieckiemu zagrożeniu.

Była to inicjatywa spóźniona o lata,

samej klęsce „koalicji”. Na mocy układu Niemcy miały otrzymać Sudety, zobowiązując się wzajemnie do niestosowania siły i poszanowania niepodległości okrojonej Czechosłowacji. Kancelerz podpisał układ nie mrugnawszy okiem, chociaż już w tym momencie wyznaczał sobie termin zagarnięcia reszty czeskiego terytorium. Co do pretensji Polaki i Węgier, cztery mocarstwa wyznaczyły do ich załatwienia 3-miesięczny termin.

Chamberlain, po wylądowaniu na lotnisku w Londynie, powiedział do oczekującego go tłumy: „Przywiozłem wam pokój!” Stary konserwatysta nie przypuszczał, jak bardzo się omylił.

W arcydziełnej sytuacji znalazła się teraz Polska. Ugoda monachijska nie zadośćuczyniła jej żądaniom samostanowienia Polaków za Olszą. Rząd czechosłowacki pretensji nie odrzucił, ale i nie śpieszył się ich załatwić. Tymczasem Polska swą polityką naraziła się i Zachodowi i ZSRR, nie mówiąc już o Czechosłowacji. Obecnie stanęła przed perspektywą wyjścia z kwitkiem, co generalnie narażało polski prestiż. W tej sytuacji Warszawa znów postanowiła zastosować metodę Hitlera. 30 września wystosowała do Pragi ultimatum, żądając natychmiastowego oddania Śląska Zaolzańskiego, pod groźbą użycia siły.

Był to krok bardzo niezreczny. Rząd czechosłowacki odwołał się do arbitrażu czterech mocarstw, a właśnie tego dnia Hitler i Chamberlain ogłosili deklarację, w której na przyszłość zobowiązali się nie używać przemocy w rozstrzygnięciu międzynarodowych konfliktów. Polsce groziła wojna z Czechosłowacją przy całkowitym braku sojuszników.

Dostrzegłszy kraniec ślepej uliczki, w którą trafil maszerując pod batutą Hitlera, minister Beck zaczął gorączkowo zabiegać o poparcie Niemiec. Jeszcze w dzień wystosowania ultimatum do Pragi, zaprosił ambasadora Mołtkego i oficjalnie zadał mu pytanie, czy Polska może liczyć na pomoc Niemiec w razie zbrojnego konfliktu z Czechosłowacją, albo z ZSRR.

Odpowiedź na postawione przez Becka pytanie uzyskał 1 października w Auswaertiges Amt ambasador Lipski. Ribbentrop wyjaśnił mu, że państwa zachodnie naciskają, aby poradził Polsce przedłużyć termin ultimatum. Od siebie nie nakłaniał Lipskiego w tym kierunku, rozumiejąc, że cała afera i bez tego naraża polski prestiż. Oficjalnie odpowiedział, że w ewentualnym konflikcie polsko-czeskim Niemcy zachowają wobec Polski życzliwą postawę, zaś w konflikcie z ZSRR okażą jej pomoc. Zobowiązał się ponadto do wyrażenia wobec państw zachodnich opinii, że konfliktu zbrojnego można uniknąć, jeżeli Praga przyjmie polskie warunki.

Niemcy niewiele więc Polsce obiecały i lada moment groziła jej straszliwa kompromitacja polityczna, a być może i wojskowa. Armia czeska była lepiej wyposażona technicznie, a przede wszystkim całkowicie gotowa do działania, na co Polsce było potrzeba co najmniej dwóch tygodni czasu.

Na szczęście dla rządu warszawskiego zagrany okoliczności. Armia niemiecka już wkroczyła do Sudetów. Kapitulacyjne nastroje ogarnęły dowództwo czeskiej armii, premiera Syrowego i prezydenta Benesa. Ten ostatni postarał się jeszcze uzasadnić kapitulację wobec przywódców partii politycznych. Wszyscy kolejno przyjęli ten fakt do wiadomości, poza sekretarzem Komunistycznej Partii Czechosłowacji Klementem Gottwaldem. On jeden zajął stanowisko bezkompromisowe, oświadczył:

„Nie zgadzam się z panem, panie prezydencie. Bosi i bezbroni Abisynjczycy bronili się przeciw czołgom i samolotom Mussoliniego, a my się poddajemy. Niech pan tylko spojrz, jak broni się lud hiszpański! Mamy znakomitą armię, naród idzie z nami i tworzy jedność. Jeszcze teraz jesteśmy w stanie pokazać naszą siłę. Jeszcze nie jest za późno. Żądań monachijskich nie powinniśmy przyjmować”.

Ale nie już nie mogło odwrócić kapitulacji. Rząd czechosłowacki wyraził zgodę również na przekazanie Polsce Zaolzia. Termin opuszczenia tego rejonu przez Czechów wyznaczono na 2 października. Tegoż dnia oddziały wojska polskiego, przy obecności Smigłego-Rydzka, wkroczyły do Cieszyna. O tym fatalnym dla Polski wydarzeniu powie później Winston Churchill że „Polacy wyciągnęli Zaolzie z plecaka niemieckiego żołnierza”. Do tegoż plecaka miała wkrótce wpaść cała Polska wraz ze „zdobytym” Zaolziem.

SUDETY I ZAOLZIE (3)

Leszek Siemion

a w aktualnej sytuacji — Czechosłowacji nie uratowałoby nawet takie przedstawienie polityki polskiej o 180 stopni. Polskie kierownictwo państwowe zresztą takiego rozwijania nie brało pod uwagę, ograniczając się do idiotycznego protestu przeciwko... naruszeniu polskiej granicy przez czeski samolot. Nazajutrz Mościcki przesłał Benesowi swą negatywną odpowiedź, do czego Beck dołączył ultimatum z żądaniem oddania Śląska Zaolzańskiego pod groźbą użycia siły.

Ambasador Lipski znów pomknął do Auswaertiges Amt na rozmowę z Ribbentropem. Niemiecki minister poinformował go o rozmowach z Anglią, w zamian za co Lipski przekazał informację:

„...o stanie naszych rozmów z Pragą, podkreślając, iż nie mamy się wprowadzić w pułapkę i żądać bądźmi konkretnych załatwień”.

Tym razem przedstawiciele obu stron rozmawiali jak wojskowi sojusznicy. Po rozmowie Lipski raportował, że Ribbentrop:

„...rozumie, iż rząd polski, mając jako główny ciężar na swoich barkach granicę wschodnią, wszedłby do konfliktu w momencie zorientowania się, czy akcja jest lokalna, czy też wojna światowa”.

27 września inicjatywę w rozgrywce przejmują Mussolini, aranżując spotkanie szefów rządów czterech mocarstw — Niemiec, Włoch, Francji i Wielkiej Brytanii. Spotkanie zostaje wyznaczone na 29 września w Monachium. Ku rozczarowaniu „zwycięskiego” Becka mocarstwa przesyła do porządku dziennego nad jego propozycją zaproszenia Polski do udziału w konferencji. Swoją drogą, dzięki takiemu stanowisku mocarstw historia oszczędziła Polsce jeszcze jednej hańby.

Konferencja odbyła się przy udziale Hitlera, Mussoliniego, Chamberlaina i Daladiera, nawet bez przedstawiciela Czechosłowacji. W nocy na 30 września podpisano układ rządzający się pełnemu sukcesowi Hitlera i takiej

W sprawie inflacji

Dokończenie ze str. 1

wanych proporcji podziału. Siłami tymi mogą być monopole, państwo czy niektóre grupy zawodowe, odgrywające w danej gospodarce szczególnie ważną rolę. Jeżeli pracownicy ci zżeszni są w silnych i nie liczących się z interesem społecznym związkach zawodowych, mogą poprzez permanentne dążenie do wzrostu płac wywołać tzw. inflacyjną spiralę płac i cen.

Jakie mogą być najważniejsze konsekwencje inflacji? Otóż przede wszystkim to wspomniana wyżej zmiana proporcji podziału. Takie czy inne ustalenie cen nie ma bowiem wpływu na to, ile dóbr znajduje się w danym momencie w dyspozycji społeczeństwa, może natomiast decydować o tym, kto będzie ich posiadaczem. Wysokość cen jest bowiem jednym z dwóch czynników określającym dochody realne. Przypadek, gdy ceny rosną szybciej niż wyrażone nominalnie płace, oznacza spadek dochodów realnych. Przed tą dokuczliwością w wielu krajach broni pracownikom tzw. indeksowanie płac. Polega ono na ustawowo zagwarantowanym mechanizmie płacowo-cenowym. Może on mieć na przykład taki kształt: jeżeli wzrost cen w danym okresie powoduje wzrost kosztów utrzymania o pięć procent, to o pięć procent (lub nieco mniej) wzrosnąć muszą płace. Oznacza to, że wzrost cen nie powoduje obniżenia płacy realnej. Często w tym miejscu pojawia się pytanie o sens podwyżek cen, jeżeli równoległe towarzyszą im równe co do wartości podwyżki płac. Otóż cały ten zabieg nie jest ekonomicznie bez sensu. Ceny różnych dóbr nie rosną bowiem nigdy w tym samym tempie. W efekcie te towary, których ceny zmieniły się nieznacznie lub nie zmieniły się w ogóle, w rzeczywistości stają się dla nas tańsze. Tańsze w tym znaczeniu, że czas pracy, jaki musimy wydatkować, żeby kupić te dobra, staje się krótszy. W konsekwencji zmiany cenowe zawsze prowadzą do zmiany struktury popytu. Powodują one, że pewnych towarów kupujemy mniej, a innych więcej, a to może mieć kapitalne znaczenie dla gospodarki. O tej konsekwencji należy szczególnie pamiętać, albowiem wskazuje ona, że procesy inflacyjne nie zawsze są szkodliwe społecznie. Podobnie rzecz się ma z dalszymi następstwami inflacji, jej wpływem m.in. na politykę inwestycyjną. Już od czasów J. M. Keynesa wiadomo, że tzw. inflacja pełzająca (jej tempo nie przekracza kilku procent rocznie) może być wcale dobrym „nakręcającym” koniunktury.

O społecznych skutkach inflacji już wspomniano, żeby jednak uniknąć nieporozumień, trzeba wyraźnie powiedzieć, że w większości przypadków zmiany proporcji podziału, wynikające z inflacji, bardziej dotyczą grup pracowniczych utrzymujących się z płac, niż tych, które dochody czerpią z kapitału. Bogatym zawsze jest łatwiej dostosować się do zmian cen i na nich zarobić. A zatem prawdziwe jest lapidarne stwierdzenie Lenina, że inflacja to podatek, który płacą najbiedniejsi.

Przejdźmy teraz do analizy problemów równowagi rynkowej i cen w Polsce. I na naszym gruncie w całej pełni podtrzymać trzeba sformułowane wyżej określenie przyczyny pierwotnej procesów inflacyjnych. Było nią zbyt silne dążenie do szybkiego zmienienia proporcji podziału. Idzie tutaj przede wszystkim o podział na akumulowaną i konsumowaną część dochodu narodowego. W tej kwestii w całym powojennym okresie dominowało u nas dążenie do jak największego udziału akumulacji przy równoczesnym zmniejszaniu tej części, którą tworzą dobra konsumpcyjne. Tendencja taka, określana często mianem odraczania konsumpcji, miała pewne uzasadnienie. Były nim stosunkowo niewielkie rozmiary odziedziczonego po kapitalizmie majątku narodowego, zniszczenia wojenne i chęć maksymalizacji tempa wzrostu produkcji. Inwestując dużo, z natury procesów ekonomicznych kreuje się inflację. Inwestycje rodzą bowiem dwójakie skutki: powodują wzrost podaży, zauważalny po kilku la-

tach od ich rozpoczęcia, ale zarazem natychmiastowy wzrost zatrudnienia, dochodów i popytu. W ostatnich latach relacja tych dwóch konsekwencji inwestycji była następująca: inwestując 100 złotych, powodowaliśmy każdorazowo wzrost dochodów pieniężnych ludności o około 30 zł.

Uznając zbyt dużą skalę inwestycji za czynnik o zasadniczym znaczeniu dla równowagi rynkowej, nie można zapominać o ich strukturze. Te same globalne nakłady inwestycyjne mogą mieć różne konsekwencje w zależności od tego, czy bezpośrednio spowodują przyrost środków konsumpcji czy produkcji. Szczególne znaczenie mają tutaj inwestycje w kompleksie gospodarki żywnościowej. Na żywność wydajemy ponad 30 proc. dochodów, a przy zrównoważeniu tego rynku wydawalibyśmy prawdopodobnie więcej. Wysoka, bliska jedności, jest też dochodowa elastyczność popytu na żywność. Oznacza to, że każdy wzrost dochodów powoduje znaczny przyrost popytu na żywność.

Trzecia przyczyna inflacji wiąże się bezpośrednio z inwestycjami. Najstarsi ludzie w Polsce nie pamiętają takiego planu inwestycyjnego, który byłby wykonany od strony wartości przyrostu majątku i nie był przekroczony od strony nakładów. Co to oznacza? Wskazuje, że plany inwestycyjne są tylko formalnie zbilansowane. Atrakcyjność inwestycji dla przedsiębiorstw, administracji gospodarczej i terenowej jest bowiem tak duża, że przedstawiane w fazie przetargów o plan projekty inwestycyjne są, delikatnie mówiąc, optymistyczne. Prejsja ta jest tym silniejsza, że dotychczas istniejący system funkcjonowania nie zawierał w sobie wystarczająco silnych bodźców dla oszczędzania środków inwestycyjnych. Mówiąc po prostu: inwestor budował swoje ze środków społecznych, toteż ich oszczędzaniem specjalnie przejmować się nie musiał.

Rzecz jasna, zjawiska inflacyjne zawsze mają złożony charakter i z wielu przyczyn akcentujemy tutaj tylko najważniejsze. Pamiętać trzeba, że inne miały uboczne znaczenie. Jest oczywiste, że inflacji w Polsce nie powodowały tzw. przyczyny obiektywne, takie jak powódź, rok czy dwa nieurodzaju. Nie miał też praktycznie wpływu wzrost cen na rynkach światowych. Przeciwnie, podawane przez rocznik statystyczny dane dotyczące tzw. *terms of trade* wskazują, że w skali dziesięciolecia na zmianach cen w handlu zagranicznym nie traciliśmy.

Jaka jest skala procesów inflacyjnych w Polsce? Z tego, co powiedziane wyżej o typach inflacji, wynika, że ma ona u nas charakter mieszany. Z jednej strony bowiem rosną ceny, z drugiej, mimo tego, stale utrzymuje się nierównowaga rynkowa. Przyjrzyjmy się najpierw wzrostowi cen. Jest on mierzony za pomocą tzw. wskaźnika kosztów utrzymania, który informuje, o ile procent muszą wzrosnąć wydatki (przy niezmienionej skali zakupów) rodziny, która wszystkie towary kupuje w ilości równej przeciętnej społecznej. Jest to zatem miara przeciętna, która opisuje rzeczywisty wzrost kosztów utrzymania tylko pewnej liczby rodzin. Spora ich część będzie inaczej odczuwać wzrost cen, w zależności od tego, ile kupuje artykułów, które podrożały. Niedokładność tego wskaźnika rekompensuje jego syntetyczny charakter.

Jeżeli kolejno nakładać będziemy na siebie wszystkie podwyżki cen w latach 1950—1980, to okaże się, że ceny wzrosły do 308,5 proc. stanu wyjściowego. Rosły zatem średnio o 3,8 proc. rocznie. W efekcie zmalała siła nabywcza złotówki. To, co obecnie możemy kupić za 100 zł, stanowi równowartość tego, co w 1950 roku kupowaliśmy za 32 zł. Wzrost cen nie postępował równomiernie. Szczególnie silny był w latach 1950—1953, kiedy ceny wzrastały średniorocznie o 15,4 proc. Ponowny wzrost dynamiki cen nastąpił w latach 1974—1980. W tym czasie wzrosły one o połowę (48,7 proc.), z tego w roku ubiegłym o 6,7 proc., a w pierwszej połowie bieżącego roku o 6,4 proc. Były to zatem wzrosty znaczne, nie odbiegające od dynamiki cen w krajach zachodniej Europy. Jako pewną ciekawostką można podać fakt mało znany nawet w

kręgu ekonomistów, że ceny rosły w Polsce szybciej niż w USA. Wskaźnik wzrostu cen w latach 1950—1977 wyniósł w Polsce 238 proc., podczas gdy w Stanach Zjednoczonych 246 proc.

Nawet jeżeli założymy, że wskaźnik kosztów utrzymania wiernie odzwierciedla wzrost cen (a taka jest podważana nie tylko przez ludzi kierujących się własnym odczuciem, ale i przez sporą grupę ekonomistów), to pozostaje problem inflacji ukrytej. Rozmiary rzeczywistej nadwyżki dochodów, które ludzie chcą wydać, nad podażą określić jest dosyć trudno. Czynnikiem zmiennym, mogącym w istotnym stopniu wpływać na wielkość popytu, są oszczędności w PKO. Pamiętając, że rachunek ma charakter szacunku, warto go jednak tutaj podjąć. Przyjmijmy jako punkt wyjścia podaną w styczniowym numerze „Polityki Gospodarczej” wielkość 16 proc., którą określono wysokość nadwyżki popytu nad podażą na koniec ubiegłego roku. W ujęciu bezwzględnym dawało to kwotę około 150 mld zł. Zakładając, że plan był dobrze zbilansowany, nadwyżka ta nie powinna w bieżącym roku wzrosnąć. W toku realizacji planu powstał jednak niedobór dostaw rynkowych o około 25 mld zł, taką samą kwotę wyniosły ponadplanowe przychody pieniężne w okresie do 1 lipca. Realizacja podwyżek lipcowych oraz wynikających z uchwały nr 81 Rady Ministrów z 6 września br. daje dalszy przyrost dochodów o około 40 mld. W sumie zatem przyrost dochodów w 1980 roku będzie wyższy o około 100 mld zł od wzrostu podaży. Zakładając utrzymanie skłonności do oszczędzania na niezmiennym poziomie (jest to stosunek przyrostu oszczędności do przyrostu dochodów; w ostatnich latach wskaźnik ten wynosił około 0,22) ze wspomnianych 100 mld ludność będzie chciała wydać na rynku około 78 mld. Oznacza to wzrost nadwyżki popytu nad podażą do dwudziestu kilku procent. Wyrażając tę wielkość inaczej, można powiedzieć, że w chwili obecnej, chcąc zrównoważyć rynek, trzeba by dokończyć podwyżek cen średnio o ponad dwadzieścia procent. Za tą wielkością średnią oczywiście kryłyby się znacznie wyższe podwyżki towarów szczególnie poszukiwanych.

Bez wątpienia najtrudniejszym z licznie stawianych w tym artykule pytań jest to, które dotyczy dróg wyjścia z istniejącej sytuacji. W moim przekonaniu trzeba jasno sformułować alternatywę na najbliższe lata: albo decydujemy się na inflację ukrytą o dużej skali, wyrażającą się w rosnących trudnościach wydawania zarabianych pieniędzy, kolejkach, rozszerzającym się czarnym rynkiem, albo na ujawnienie inflacji poprzez wzrost cen. Choć zdaje sobie sprawę, że to mocno dziś niepopularne, opowiadam się za tym drugim rozwiązaniem. Wskazać trzeba jednak na pewne warunki, które muszą być spełnione, aby to przedsięwzięcie zakończyło się sukcesem.

Po pierwsze — musimy mieć jasno skryształowaną koncepcję reform systemu funkcjonowania gospodarki. Koncepcja ta musi powstać w możliwie krótkim czasie i należyć ją jak najszybciej wprowadzić w życie. Jest to warunek wstępny, bez jego spełnienia wszelkie regulacje cenowe mogą nie dać ze względu na szybkie odtworzenie się nadwyżki popytu. A w takim przypadku kosztowna dla społeczeństwa regulacja cen nie miałaby sensu.

Warunek drugi sprowadza się do uzyskania aprobaty społeczeństwa. W tej kwestii uważam, że sytuacja jest niepowtarzalna, powstanie niezależnych związków zawodowych, będących autentycznym przedstawicielem klasy robotniczej, stwarza znaczną łatwość uzyskania rzeczywistego poparcia dla programu gospodarczego. Aby jednak istniała możliwość uzyskania społecznej aprobaty, spełnionych musi być kilka dalszych warunków. Pierwszym jest taki rozkład społecznych kosztów, by przede wszystkim poniosła je bogatsza część naszego społeczeństwa. Drugim — szczególna ochrona niektórych osób (zarabiających poniżej minimum socjalnego, inwalidów, itd.) oraz niektórych rodzajów konsumpcji (żywność, mieszkania, artykuły niemowlęce). Po trzecie wreszcie, decydując się na zmiany cenowe, które w moim przekonaniu niezbędne są dla postawienia na nogi stojącego dziś na głowie systemu funkcjonowania gospodarki, trzeba przeprowadzać je jawnie i w sposób w pełni zrozumiały dla społeczeństwa.

Michał Zieliński

POLEMIKI

„OFIARUJĘ WAM KRONIKĘ ZMAGAŃ Z OBŁEDEM...”

NAPISANA przez Zygmunta Mikulskiego recenzja „Obłędu” Jerzego Krzysztonia („Dziś się zwariować” — „Kamena” nr 20) jest ostra. Z przyjemnością przeczytałem ją nie bez satysfakcji (zresztą jeszcze przed lekturą książki). Lubie złościć, gdy są inteligentni.

Potem zdobyłem wreszcie „Obłęd”. Przeczytałem, wyciągając sobie nawzajem z czołki (psycholog, rzuciła się na to drapieżnie) Odłożyłem książkę z osobliwym uczuciem. Bo ja byłem w Twórkach. Na szczęście nie jako pacjent (na razie). Odwiedzałem tam przyjaciela, wspomnianego zresztą w III tomie „Obłędu” jako „poeta”.

Tego się nie zapomina. Ludzie za kramami, jak mały w klatkach. Drzwi bez klamek. Zapach szpitalnej zapki. Raz widziałem, jak jeden z pacjentów dał „poecie” deser z niedzielnego obiadu. Kawalek makowca, który „przechowywał” w brudnej dłoni, nadgryzając dla rozrywki. Poeta wziął ciasto oślinione przez niegłównego wariata. Włożył do ust... Bałem się, że

zostanie tam z nim na zawsze. Słyszałem, jak się do niego odzywał.

Wróćmy do recenzji. Nie jest ona bynajmniej taktowna (recenzent zarzuca mi z pewnością, że krytyka literacka nie musi być taktowna, może nawet będzie miał rację). I to już w tytule. A jakie są w niej wnioski? Ze „Obłęd” to „tysiąc stron o niczym” — „Na temat fixum-dyrdum trylogia. Wobec tego na temat zabawy w kloki będzie tetralogia...” — to już chwyt niżej pasa, w dodatku rozumowanie na zasadzie: „że słońce świeci, Warszawa leży nad Wisłą”.

Te wnioski wysnuwa Mikulski ze swojej recenzji, która w zasadzie dotyczy tego, co w „Obłędzie” marginalne: balastu „erudycji”, wstawek obcojęzycznych i błędów. Tych autor recenzji wylicza sporo. Mogłbym dorzucić jeszcze kilka. Ale po co? Wiem zresztą z własnego doświadczenia, że takie błędy nie zawsze są błędami autora. Nie wiem, czy tak jest u Krzysztonia.

Są to błędy przykre, ale czy one decydują, że „Obłęd” to „tysiąc stron o niczym”? Czy istotnie o niczym? Mikulski pokpiwa sobie z naukowych dysput pacjentów Twórek. Zastępuje chwyt niżej pasa: czy autor recenzji nigdy nie był świadkiem i uczestnikiem pijackich dysput? Ja bywałem i myślę, że z obłąkanymi jest podobnie.

Oczywiście, uznawanie za zaletę powieści tego, że trzeba ją czytać z encyklopedią w ręku, jest pomieszczeniem pojęć. Tylko czy w tym wypadku rzeczywiście trzeba do en-

cyklopedii sięgać aż tak często? Nie przesadzajmy. Co zaś do angielszczyzny: nie ma jej w książce tak znowu dużo (angielski zresztą należy do języków jako tako znanych w tym kraju, a ponadto autor często tłumaczy obcojęzyczne wtręty).

Czy to, że polemizuję z Zygmuntem Mikulskim, znaczy, iż uważam „Obłęd” za arcydzieło? Nie. Nie zgadzam się ani z chórem entuzjastów, ani z Jerzym Andrzejewskim, który twierdzi, że rzucił tę książkę po przeczytaniu sześćdziesięciu stron. „Obłęd” to książka miejscami fascynująca, niekiedy przejmująca, często budząca sprzeciw wobec tego, co jest jej przedmiotem: wobec choroby i procesu leczenia. To zresztą jest zapewne zamierzeniem autora.

Dlaczego zatem nie uważam „Obłędu” za wielkie osiągnięcie literackie? Jest to książka niedopracowana (głównie pod względem językowym) i zdecydowanie przegadana. Tu Mikulski ma rację. Ale „Obłęd” stanowi materiał na świetną książkę. A to już dużo w sytuacji, kiedy większość powieści „obyczajowych” (nieestety, także sporo „historycznych”) odkłada się z niesmakiem, po przekartkowaniu. Myślę, że Krzyszton mógłby ze swej trylogii zrobić rzecz znakomitą: przepracowałszy ją stylistycznie, wycisnąwszy z niej nadmiar „wody”, poprawiwszy błędy rzeczowe.

„Obłęd” to nie tylko powieść. To także „literatura faktu” — i to chyba jest zgodne z zamierzeniem autorskim. Jest to akt o-

skarżenia dla polskiej psychiatrii. Wzruszająca relacja człowieka tłumaczonego przez wilgarnych pielęgniarzy, lekceważonego przez lekarzy, szpiokowanego konskimi dawkami zastrzyków, faszerowanego kilogramami leków rujnujących wątrobę i serce, odzywianego głodowymi racjami.

A mam wrażenie, że jest to obraz bardzo wyretuszowany. Rozmawiałem co nieco z moim przyjacielem, ekspedjentem Twórek. Rozmawiałem z nim także o „Obłędzie”. On twierdził, że to zapis autentyczny, że przeżyć z okresu choroby nie można zapomnieć.

Na temat „Obłędu” można dyskutować z różnego punktu widzenia. Myślę, że nie od rzeczy byłaby dyskusja ludzi, którzy przeszli przez leczenie zamknięte w zakładzie psychiatrycznym. Może jej rezultatem byłoby wycieczki dziennikarzy do Twórek? Może polepszyłyby się smutny los obłąkanych? Cena byłaby też dyskusja w gronie literatów z udziałem psychologów i psychiatrów. Pomysł jest. Tanie sprzedam. Na przykład „Kamena”.

Bohdan Królikowski

Kamena str. 9



Fot. CAF — Maciej Klos

Rozmowa z Mają Komorowską

MIROSLAW DERECKI: — Porozmawiamy o pani rolach w filmach Krzysztofa Zanussiego. Układają się one, tak sądzę, w pewien bardzo logiczny i konsekwentny ciąg; postaci przez panią kreowane mają tak wiele cech wspólnych, że dostrzegam w nich jakby jedną osobę — z biegiem lat coraz bardziej dojrzewającą, coraz pełniejszą, głębszą — sprawdzaną przez reżysera i przez samą Maję Komorowską, w różnych „wariantach”. Zawsze — co chyba bardzo istotne — jest to osoba pochodzenia inteligentnego, starająca określić się we współczesnym świecie. W ciągu dziesięciu ostatnich lat ta tworzona przez panią kobieca postać przechodzi ciągłą metamorfozę: od „zdeklasowanej”, zwariowanej, nieposkromionej, ale chyba przede wszystkim na swój sposób kontestującej Belli z „Życia rodzinnego”, aż po uporządkowaną, jakby pogodzoną z życiem Dorotę, żonę bogatego i wziętego lekarza z powstałego ostatnio „Kontraktu”. Zaś pomiędzy Bellą i Dorotą — jeszcze: zagubiona w życiu, znerwicowana doktorantka Anna z „Za ścianą”, próbująca ratować swoje życie rodzinne urzędniczka Marta z „Bilansu kwartalnego”, wreszcie — Teresa ze „Spirali”, o której właściwie nic nie wiadomo, poza faktem, że jej mąż, taternik, zginął w górach. Teresa, która postanowiła być przy nieuleczalnie chorym bohaterze filmu, aż do jego śmierci. I jeszcze jedno: w filmach Zanussiego, właśnie w jego filmach, jawi mi się pani jako medium. Medium pewnej formacji kulturowej — rozterek, dążeń, poszukiwań tej części społeczeństwa, która wyrasta, czy też identyfikuje się z tradycją polskiej inteligencji...

MAJA KOMOROWSKA: — Rozumiem co pan mówi... rozumiem co pan mówi... No tak... tak... Pan ma to przemyślane, ten swój „socjologiczny” punkt widzenia. Tylko nie wiem, czy w naszej rozmowie, w takim myśleniu, byłabym „najmocniejsza”, najmocniej do takiego pojmowania moich ról przekonana. Mówi pan: jedna rola przez wszystkie filmy? Mówi pan: czy Bella nie zaoferowała w ciągu lat jakiegoś „przejścia”, ale jest to wrzask powstania między innymi z ukła-

MIROSLAW DERECKI: — Oto jest pytanie! Bo wprawdzie pod postacią Doroty niedługojszej Bella odzyskuje jakąś „pozycję”, ale jest to wrzask powstania między innymi z ukła-

dów i układzików, trącająca nuworyszostwem.

MAJA KOMOROWSKA: — Wie pan, ja na ten ciąg postaci, o których tutaj mówimy, patrzę trochę inaczej. Bardziej od punktu widzenia aktorskiego; bardziej od strony psychologii postaci, w sensie ciągłego poszukiwania własnego miejsca nie tylko w społeczeństwie... Ale gdybyśmy spróbowali prześledzić te role, które grałam u Krzysztofa Zanussiego, łącząc pański i mój kąt widzenia? Tak... Bella jest osobą, która musi sobie znaleźć jakieś określone miejsce nie tylko w społeczeństwie, także wobec samej siebie, w sobie samej. Bella jest rozdarta.

MIROSLAW DERECKI: — Między złem i dobrem? Między uczciwością wobec zasad, które kiedyś w niej za szczerono, a tych zasad zaprzeczaniem?

MAJA KOMOROWSKA: — W Belli tkwi jakaś tęsknota, zauważył pan? Z jednej strony — jest osobą jakby „pobrzedzoną” (gdzieś tam w wielkim mieście, w życiu, „zbrudziła się” — jest taka sugestia w filmie), ale istnieją przecież także w niej jakieś mocny odcinek ja sny. To nie brat, który jest — jak to się mówi — „w porządku”, to właśnie ona, Bella, mimo wszystko pozostaje jednak przy zrujnowanym życiu, psychicznie i zdrowotnie ojcu.

Anna z „Za ścianą”. I tutaj chyba oboje znaleźliśmy cechy „wspólne”: w Annie też tkwi poczucie niepokoju — choć innego niż u Belli, i też to ciągłe szukanie, poszukiwanie. Każdy z nas nosi w sobie niepokoju, każdy z nas musi go mieć w sobie. Ciekawe zresztą, jak Krzysztof Zanussi przesunął pomiędzy „Życiem rodzinnym” i „Za ścianą” pewne proporcje, pewne granice tego niepokoju, tego poszukiwania, jakie inne są niepokoje Belli, dziewczyny posiadającej „włosy”, „nogi”, „usta”, w ogóle — „ciało”, a jakie są niepokoje Anny, osoby w okularach i z kompleksami, jakby zapominającej, że jest również kobietą. Ja myślę, że ta żywiołowa, zwariowana, zbuntowana Bella mimo wszystko łatwiej znajdzie sobie miejsce w życiu, niż poważna, zastanawiająca się nad życiem Anna.

Ale wie pan, mnie Anna z „Za ścianą” nie bardzo jednak pasuje do pańskiej koncepcji (nazwijmy to w skrócie — socjologicznej). Marta z „Bilansu kwartalnego” — już bardziej. Tak, Marta... No dobrze: więc Bella, Bella-Marta, spotkała takiego człowieka, tego jej męża, on ją uspokoił. Tu, w „Bilansie kwartalnym”, już jest małe mieszkanko w blokach, nie ma popadającej w ruiny willi pamiętającej czasy dawnej, fabrykanckiej przeszłości, nie ma salonu z rozsypanym

się antykami, ciotki, ojca. Jest za to dziecko chodzące do szkoły. Jest ta jakaś stabilizacja...

MIROSLAW DERECKI: — A co zostało w Marcie z Belli?

MAJA KOMOROWSKA: — Co w Marcie zostało z dawnej Belli, co się w niej żarzy? Myślę, że Krzysztof Zanussi w „Bilansie kwartalnym” pokazuje osobę, która ma w sobie już pewien spokój. Ten ład, do którego dążyła, za którym tęskniła — a może tylko wydawało się jej, że ten ład osiągnęła? Lecz w tym momencie odezwiała się w niej dawna, zagluszona już trochę dziewczyna; zatekniła nagle za tą gimnastyką, którą trenowała w czasie studiów, za fantazją z tamtych lat, za inną wyobraźnią — w jakimś sensie bezkarną. Kiedy spotkała „tego innego”, Marka Piwowońskiego, on ją pociągnął. Ja myślę, że najistotniejsze w „Bilansie kwartalnym”; jest pokazanie tego odcinka życia Marty, kiedy zmęczona tym kołowrotem stabilizacji, chce na chwilę chociaż zapomnieć, oderwać się. Zrezygnować z tej swojej zaplanowanej drogi, z tego ładu, o który walczyła. Ale nie „poniosła” ją nawet na tyle (a może słowo „nawet” należałoby tutaj opuścić?), żeby zrobić coś, co byłoby zrominiale u niedługojszej Belli. Marta wraca do domu. Pamięta pan końcówkę sceny? Śladają z Piotrem Fronczewskim w domu, przy stole, przy herbacie... Śmieją się i płaczą... Nagle ona, Marta, przestaje i śmieć się i płakać tak bardzo uważnie mu się przypatruje. Kamera idzie w górę.

Nie ma w „Bilansie kwartalnym” happy-endu (jak najczęściej rozumiano to w Polsce); jest próba zaczenia życia od nowa. Ale jest próba. To bardzo ważne. Marta zatrzymała się, zobaczyła nagle tę wartość, lub inaczej: porządek wartości, od których chciała się może na chwilę uwolnić, wyswobodzić. Potwierdziły się w niej dawne, instynktowe odczuwane wartości, lęk przed brakiem ładu. Ze... jeśli się raz nie udało, drugi nawet raz, to trzeba jednak o to życie, o ten ład życia, walczyć, że może nawet dla jednej tylko lzy wylanej przez dziecko nie warto „podskoczyć” trochę wyżej, „popłynąć” trochę dalej...

MIROSLAW DERECKI: — Tutaj mi się zaraz nasuwa passus pani wypowiedzi w książce Kazimierza Żorawskiego „Maja Komorowska”, wypowiedzi bardzo ważnej dla „socjologicznego” ujęcia pani ról w filmach Krzysztofa Zanussiego: „Z niepokojem patrzę na to, co się dzieje z dziećmi. Myślimy mieli jeszcze miły domów, tego wszystkiego, co choć może nie było wszędzie całkiem tak jak trzeba, to jednak istniało. Choć gdzieś tam broń się przeciwko temu, że kobieta stworzona jest tylko dla domu, to przecież z lękiem patrzę na matki, które z gorliwością oddają się innej, nie rodzinnej służbie. Moją obsesją stała się cenna, którą trzeba będzie za to zapłacić”.

MAJA KOMOROWSKA: — Tak. A czy zauważył pan, że od „Spirali” moja rola, to znaczy rola otwarcia przez mnie postaci (nie — rola w znaczeniu aktorstwa), zaczyna być towarzyszącą? Teresa w „Spirali”, choć nawet podejrzewa, że drażni umierającego w tym filmie Jana Nowickiego, jest zdecydowana „towarzyszyć” mu do końca. Wie, że w sumie jest potrzebna temu człowiekowi, który nie ma nikogo na świecie poza nią, właściwie przypadkową znajomą ze schroniska w górach. Bella była rozdarta, zbuntowana, Marta samotna się z własnym życiem, Teresa ze „Spirali” już się nie zajmuje sobą. Więcej w niej pokory.

MIROSLAW DERECKI: — Pokory wynikać z rezygnacji czy ze zrozumienia siebie, świata?

MAJA KOMOROWSKA: — Ona, Teresa, Bella-Marta-Teresa, to jest ta pani, która ma za sobą jakiegoś wielki, bardzo trudny kawał życia, która miała męża taternika, i która te-

raz umierającemu nosi do szpitala kompoty. Ona teraz po prostu wiele rozumie. Stara się pomóc. Stara się rozumieć. Ta scena... „biologiczna” w szpitalu: bardzo mądra jest w niej Teresa; ona do końca zrozumiała. Dlatego to robi. A jej twarz płacze.

Dorota z „Kontraktu” natomiast stara się „porządkować” życie. Porządkować je, na ile jeszcze można. Chce robić jak najlepiej; to, co do niej należy, czego od niej życie i sytuacja w jakiej żyje, wymaga. Czy zauważył pan, że nawet w swej zewnętrżności — w ubiorze, makijażu, sposobie bycia, noszenia się, jest ona osobą z barana, uspokojoną? Przynajmniej — pozornie uspokojoną. Ta pani w bogatym futrze, żona wziętego lekarza, profesora...

MIROSLAW DERECKI: — Żyjąca w środowisku pełnym zaktamania, bardzo specyficznym interpretującym uczciwość, normy moralne...

MAJA KOMOROWSKA: — Ta pani stara się jednak każdego zrozumieć. Ta pani rozumie, zdaje sobie sprawę, w jaki świat weszła (weszła weń przecież jednak — w to głęboko wierzę — z prawdziwej miłości do człowieka, którego żoną została), lecz, zdając sobie sprawę z całego brudu ją otaczającego, stara się ratować dom rodzinny, to, co można, reperować to, co da się jeszcze naprawić, kieść to, co da się jeszcze skieść.

MIROSLAW DERECKI: — Wierzy, że wartości (dobro, czystość) istnieją obok nas, tylko trzeba chcieć i umieć je dostrzec? Bella z „Życia rodzinnego” też miała tę tęsknotę za dobrem?

MAJA KOMOROWSKA: — Ostatnia scena „Kontraktu”: cisza, śnieg, taki spokój natury, porządek, harmonia... Pojawia się nagle jelen z tymi mądrymi, spokojnymi oczami, patrzy... Dorota i wchodząca dopiero we własne życie Lilka przyklekają w tej ciszy przed tym, co czyste, prawdziwe...

MIROSLAW DERECKI: — Jeszcze jeden cytat z książki Żorawskiego. W 1976 roku powiedziała pani autorowi: „...choćabym bardzo chciała pracować z Zanussim, a wszystko wskazuje na to, że do tego dojdzie, myślę, o tej pracy z obawą. Bo jeżeli myślimy się trochę poznali i tak różne nastąpiły spotkania, jak przy „Życiu rodzinnym” a potem przy „Za ścianą”, to teraz kiedy mamy się spotkać następnym razem, nie wiem, czy Zanussi będzie miał ochotę mnie słuchać i czy ja będę miała ochotę mówić. Jeśli się będzie spokojnym, zrównoważonym, świadomym wzajemnej znajomości siebie, to czy wtedy będzie się umiało tworzyć? Nie chcę się nad tym dalej zastanawiać — nie wiem nawet czy należy — można bowiem dojść do niedobrych i niebezpiecznych w swych konsekwencjach wniosków”. A jednak powstała następnie „Spirala”, potem zaś „Kontrakt”, powstał też film nakręcony w RFN...

MAJA KOMOROWSKA: — Tak. Krzysztof Zanussi, okazuje się, ciągle znajduje we mnie jakieś nowe klawiszki, które można nacisnąć. Ja też próbuję, otwieram różne drzwi... Ja się kiedyś pytałam Krzysztofa Zanussiego: co mam jeszcze nowego zrobić, ile jeszcze kozłów fiknąć? A jednak można, można znaleźć w sobie wciąż coś nowego, nieodkrytego, nieświadomionego. Tyle, że ja już nie mogę zagrać osoby bardziej samotnej jak bohaterka „Za ścianą”, bardziej zwariowanej niż Bella, osoby bardziej „w biurze” jak Marta, bardziej „towarzyszącej” niż Teresa, ani „porządkującej” jak Dorota. Myślę też, że gdybym teraz miała zagrać osobę śmiejącą się od rana do wieczora, to...

MIROSLAW DERECKI: — To by znaczyło pogodzenie się pani bohaterki ze światem?

MAJA KOMOROWSKA: — Proszę pana, a może by się okazało, że to byłaby moja najbardziej dramatyczna rola.

Polska „Zgoda”

POCZTA literacka



Krystyna Sz. Gniezno. Jest w Pani poezja, jest to, co obiegowo nazywa się „duszą poetycką” i to liryczne zaskuchanie w siebie samą. W tym niekwestionowanym autentyczności stanów i przeżyć brakuje tylko doświadczenia formalnego, a głównie samokontroli. Beztrąsko sięga Pani po tak parzące kwiatki, jak: „w święcie księżyców”, ciszą starych cmentarzy” czy jesień, dom dzieciństwa lub spotkanie po latach — jako tematy. Myślę, iż te narzucające się psychicznie i psychologicznie motywy — najtrudniejsze z trudnych, bo ograne — trzeba zostawić największym mistrzom. Druga uwaga: zbyt potoczyście ścieka u Pani fraza i całe rozbudowane zdania — gładkie, logicznie oczywiste i ładne tą ładnością, za którą przeważnie niewiele się kryje. Bo przecież „ładne” i „poetyckie” jest zdanie, rozpisane przez Panią aż na cztery wersy: „Jeszcze w zamyśleniu zielonych krajobrazów dosięgnie was falowanie trawy niewymyślnym przyrównaniem morza”. Jedyne, co w nim poetyckie, to spersonifikowane „zamyślenie zielonych krajobrazów”, ale to przecież nie Pani jest autorką tej przenośni, to było setki razy w przeróżnych wersjach. I proszę nie uważać, że raz na zawsze odbieram prawo do samoistnego bytu wszystkiemu, co już było i zbanalizowało się. Wszystkie owe „zamyślenie krajobrazów” czy „mijanie dni i nocy” mogą z powodzeniem powracać w poezji jeszcze setki razy, pod warunkiem, że liryczny kontekst je usprawiedliwi. Same, jako jedyne nośniki poetyckiego przeżycia, niestety, nie mają już owego prawa bytu. I proszę także nie sądzić, iż wierzę, poezja w ogóle, istnieje dla mnie jako zlepek atomów i tylko drobiazgową analizą chemiczną jest dla mnie sprawdzianem utworu. Jest jeszcze inny sposób percepcji wiersza — jako całości, tu użyję fragmentu z Pani utworu — „szum zrodzony z drżenia drzew i wiatru zasłuchania”. W takim odbiorze, zwłaszcza w dobrej recytacji, utwory te znacznie zyskają. Cóż więc ostatecznie? Ostatecznie nadają się do druku „jeszcze nie pogodziłam się”, czy nawet „wasze tęsknoty”. Ponieważ nasz pierwszy kontakt ma wyraźny charakter roboczy, w którym zależy Pani głównie na ocenie, a nie na druku — zatem poczekajmy.

Jan L. Zamość. Renesans, Hetman, Zamość — patriotyzm lokalny, to wartościowa cecha, ale czy koniecznie trzeba sięgać, po formę poetycką, aby kibicować swojemu miastu? Jest też poemat — odpowiednio długi — bo poświęcony biegaczom maratonu, jest wiersz o oszczepniku. Są też fraszki, a w liście pyta Pan dodatkowo, czy zajmujemy się prozą. Czy nie za duży wachlarz form i tematów? „Prośba”, „Pożegnanie” i „Świt” to te utwory i sprawy, w których znać ślad własnego przeżycia i jakiejś potrzeby chwytania za pióro. Gdy opadną te wszystkie fasy — pogadamy.

Dariusz T. L. Bydgoszcz. Został Pan członkiem Koła Młodych i laureatem miejscowego konkursu poetyckiego. Same sukcesy. Radzę jednak zachować wobec nich pewien dystans, a do takiego wniosku obliwy mnie lektura nadesłanych utworów. „Pokolenie” — niezręczna publicystyka — dajmy spokój „krzyśtołowi kamiliowi”. Potem leci wiersz o Przybosisi i wiersz dedykowany Kapuścińskiemu. Wcale się nie dziwię, jeśli w następnej przesyłce znajdzie utwory dedykowane Cz. Miłoszowi oraz L. Wałęsie.

H.P.

NAJWIĘKSZA w Europie i drugiej w świecie po amerykańskiej organizacja polonijna, kupująca 10 tys. członków i działająca od 1950 roku w warunkach trudnych, niezadko dramatycznych, sprawdzających ludzką odwagę — Związek Polaków „Zgoda” w RFN obchodził niedawno, 9 listopada, swoje 30-lecie. Na widowni Ruhrlandhalle w Bochum spotkało się z tej okazji ponad trzy tysiące osób, aby wysłuchać stosownych przemówień, popatrzeć na tańce ludowe folklorystycznej „Wielkopolski” z Poznania i własnych zespołów młodzieżowych, by asystować przy przekazaniu organizacji sztandaru ufundowanego przez Towarzystwo „Polonia”, a wykonanego zgodnie z projektem Pauliny Lemke, absolwentki krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych, mieszczącej od lat w Düsseldorfie...

Taki jubileusz uzasadniałby niewątpliwie przedstawienie państwu jakiegoś zgrabnego sprawozdania z działalności „Zgody”, ozdobionego, zgodnie z konwencją pisania o takich sprawach, wieloma serdecznymi przymiotnikami, a może nawet cytatem z Sienkiewicza lub Osmańczyka. Tym razem proponuję jednak coś innego: krótką opowiadkę o pewnym domu, wygodnym, dość zgrabnym, ale na pewno nie kwalifikującym się do miana pomnika architektury.

A zacząć należy od tego, że wielotysięczna „Zgoda” właściwie zawsze była bezdomna, nie dysponowała miejscem, gdzie czulaby się gospodarzem. Owszem, zarząd miał dach nad głową przy Oskar-Hoffmann-Str. 75 w Bochum, ale dach ten był wynajęty i krył tylko cztery pokoje i magazynek, służący ponadto do zaparzania kawy. W takim pomieszczeniu nawet jedna gromada (podstawowa organizacja związku) nie mogłaby odbyć zebrania. Od wielu lat spotkania takie odbywają się z reguły w... restauracjach różnych miast Republiki Federalnej Niemiec, co ma niewątpliwie swój urok, ale zmusza zarazem uczestników — zgodnie z niepisaną umową z właścicielami

tych lokali — do konsumpcji różnych potraw, choć i samym piwem można sprawę zahatwić. Niektóre gromady mogą przecież odbywać swoje zebrania, próby chórów czy tańców ludowych w salach uniwersytetów powszechnych, bezpłatnie lub za fenigi, a konferencje ogólnozwiązkowe udaje się lokować w wygodnych pomieszczeniach szkół i innych obiektów użyteczności publicznej. Trzeba bowiem wiedzieć, że władze Wielkiej Republiki idą na rękę „Zgodzie”, a ich przedstawiciele niezadko uczestniczą w uroczystościach związku na zasadzie gości honorowych. W mojej obecności jeden z takich panów, człowiek sympatyczny zresztą, błyskawicznie opanował trudną dla niego melodię pieśni „Jeszcze Polska nie zginęła”.

Zgodnie z prawami dialektyki „Zgoda” posiada i swoich zajadłych wrogów, usytuowanych zazwyczaj w organizacjach przesiedleńczych, które obmalowują polonijny związek w barwach czerwieni, przewidując różnorakie plagi dla tych ze 125 tysięcy osób, jakie opuściwszy (zew krwi oraz ekonomicznej) nasz kraj, nieoczekiwanie zaczynają tęsknić za polskością i szukać kontaktu ze „Zgodą”. Kolportowane przez wspomniane organizacje ulotki ostrzegawcze zdają się jednak przynosić skutki niezgodne z zamierzeniami ich wydawców, jako że ostatnio „Zgoda” powiększa się rokrocznie o około 400 nowych członków.

Bezdomny najchętniej myśli o mieszkaniu, a zatem ponad rok temu zarząd związku rzucił myśl kupna jakiejś odpowiedniej posiadłości, możliwie taniej, bo wiadomo — „Zgoda” daje sobie radę, ale do potentatów finansowych nie należy. Postulat, że posłużyć się modnym dziś u nas słowem, wzbudził jednak opór w niektórych środowiskach polonijnych, jakby przywykłych do krótkoterminowego, powiedzmy — najwyżej pięcioletniego planowania. Ostatecznie przecież idea własnego domu zyskała poparcie zdecydowanej większości członków i „Głos Polski”, organ związku, ogłosił zbiórkę pieniędzy na cel wiadomy.

EKRAN I WIDZ

Stachura w wydaniu Siemiona

TEATR Telewizji zaprezentował niedawno monodram „Wszystko jest poezją” według Edwarda Stachury. Adaptacji scenicznej tekstów znanego poety dokonał Wojciech Siemion, on też był reżyserem i wykonawcą.

W pierwszych tomikach Stachury zawarł się najwięcej jego młodzieńczych buntów wobec otaczającego świata, wrażliwości na spotykanych ludzi i na przyrodę, bezkompromisowej wiary w słusność drogi, którą obral, drogi poety.

Siemion, konstruując scenariusz „Wszystko jest poezją”, sięgnął jednak przede wszystkim do ostatniej twórczości Stachury. Do utworów, w których

pisarz jest już bardziej „filozoficzny”, refleksyjny, więcej ze światem pogodzony i spoglądający nań często z nutą bardzo specyficznego, delikatnego humoru. To Stachura czterdziestoletni, coraz bardziej utrudzony wędrowiec (choć zawsze pełen wewnętrznej energii) nie tylko po polskich bocznych drogach — po różnych Kluczkowicach, Tarnawatkach czy po Ostródach, Stargardach, Szczecinie i Krakowie, ale także przelotny mieszkaniec Paryża, Meksyku, Stanów Zjednoczonych... To wciąż człowiek zanurzający się z pasją w niezmierny świat, ale podróżujący teraz także ku miejscom, gdzie pochowani są starzy przyjaciele; jak piękny w swojej prostocie jest fragment tekstu o mogile znanego muzyka jazzowego, Mieczysława Kosza, pochowanego z dala od Warszawy, na prowincjonalnym cmentarzu, gdzieś koło Tomaszowa Lubelskiego!

Wojciech Siemion jako autor adaptacji spisał się bardzo dobrze. A dodatkowym powodem do zadowolenia byłby fakt przypomnienia wielomilionowej publiczności telewizyjnej dokonań artystycznych Edwarda Stachury. Niestety, zawiódł Siemion jako wykonawca.

Nie dlatego, żeby się do tej „rolki” nie przyłożył, żeby jej „nie dopracował”. Przeciwnie: widać ogromne zaangażo-

wanie aktora i zarazem inscenizatora oraz reżysera, aby wszystko wypadło jak najlepiej.

Tylko, że niestety Wojciech Siemion zupełnie nie zrozumiał Stachury: istoty jego osobowości i istoty jego poezji. Albo, co gorsze, zrozumiał, ale postanowił zinterpretować i przedstawić ją po swojemu, w myśl modelu wypracowanego kiedyś w słynnej „Wieży malowanej”. Tak czy inaczej, próżno by we „Wszystko jest poezją” szukać Stachury-księcia poetów, Stachury-szlachetnego rycerza poezji, Stachury-barda nieustannej, romantycznej wędrowki, za jakiego się uważał. Nawet: Stachury — „Świętego Franciszka w dzinsach”, jak go kiedyś dosadnie, ale i nie bez pewnej racji, określił Hamilton. Stachura w wydaniu Wojciecha Siemiona to... i trochę ludowy świętek pod chłupą, i „chlopek-riztropek, i mądry wiejski filozof-bajarz, i wrażliwy osilek w typie Antka ze znanej noweli Prusa, wędrujący przez świat — jedna z tych siemionowskich postaci, które tak doskonale sportretował w licznych filmach i sztukach — ale nie liryk, nie liryk!

A jednak cieszyć się z tego telewizyjnego wieczoru: mimo wszystko przebiła się przezeń — mimo siemionowskiego zaśpiewu — prawdziwa poezja Stachury.

M. D.

Podsumowanie: jeśli 10 tys. Polaków rozrzuconych po różnych miejscowościach RFN dochodzi do zgody i kupuje nieruchomości za ponad pół miliona marek, oznacza to, że ich wspólnota ma charakter nieprzypadkowy, a horyzont myślenia sięga przynajmniej trzydziestu następnych lat.

Ładnie i słodko kończą się jednak tylko baśnie, gwoli pełnej prawdy dodajmy zatem, że przyszość „Zgody”, instytucji tak zaprzyjaźnionej z Centrum Polonijnym UMCS, w pierwszym rzędzie zależy od pozyskania dla organizacji ludzi młodych i od rozwoju szkolnictwa polonijnego, które przedstawia się raczej kiepsko.

Cały wysiłek chcemy obecnie skupić na rozwiązaniu tych właśnie problemów — stwierdzają zgodnie: Ignacy E. Łukaszczak, przewodniczący zarządu i Mirosław Szwece, przewodniczący Rady Związkowej „Zgody”.

IJK

KRONIKA

25 i 26 października Liceum Ogólnokształcące w Lubartowie świętowało 400-lecie istnienia szkoły, która nosi dziś imię Fr. Józwiaka „Witolda”. Wychowankowie i nauczyciele liceum, ludzie z różnych pokoleń, którzy wzięli udział w uroczystościach, byli świadkami odsłonięcia tablicy poświęconej pedagogom, otwarcia Izby Pamięci i Tradycji oraz harcówki. Pierwszy dzień jubileuszowego zjazdu zakończył koncert galowy z udziałem młodzieży i artystów zawodowych oraz bal absolwentów. Sfinansowanie uczniów i wręczenie sztandaru (ufundowanego przez Komitet Rodzicielski) szczerpował HSPS, a następnie pochód ulicami miasta i złożenie wieńców pod pomnikami poległych za ojczyznę — wypełniły drugi dzień tego sympatycznego jubileuszu wielce zasłużonej szkoły.

Wbrew prognozom z początku listopada obiecującym znaczne ocieplenie, śniegi nadal kryją pola i tysiące ton nie wykopa-

nych ziemniaków i buraków. W wołnym handlu ze metr ziemniaków żąda się i 1290 zł.

Profesorowie: Bohdan Dobrzański (SGGW) i Tadeusz Tomaszewski (UW) otrzymali doktoraty honoris causa UMCS. Przypomnijmy, że pierwsze tego rodzaju dyplomy przyznano przed laty w Lublinie Irenei i Fryderykowi Joliot-Curie.

Prof. dr hab. Adam Kersten kontynuuje cykl wykładów o „Krótka historia Polski dla Polaków XXI wieku”. Pierwszy wykład zgromadził ok. 700 słuchaczy. (W następnym numerze pisma zamieścimy rozmowę z A. Kerstenem).

Ciągle pisze się ostatnio — i słusznie — o brakach, trudnościach i kłopotach, więc podajemy dla otuchy, że elektryfikacja linii kolejowej Lublin — Świdnik przebiega w dobrym tempie. Związek też zaczęto budować w Świdniku: szpital, szkołę i tak potrzebne miastu nowe ujęcie wody.

„Dzieło Czesława Miłosza” to tytuł wystawy otwartej w Bibliotece KUL. O różnych aspektach twórczości i osobowości poety mówili: prof. dr. hab. Irena Sławińska i Aleksander Rymkiewicz.

Po raz 34 odbyły się w Lublinie „Dni Filmu Radzieckiego”, podczas których mogliśmy m.in. obejrzeć „Syberiade” A. Michalkowa — Konczalowskiego i „Niech ży-

je Meksyk” (montaż G. Aleksandrowa z materiałów S. Eisensteina).

Po siedmiu latach zakończono ostatecznie prace przy budowie zamojskiego amfiteatru, który może pomieścić trzy tysiące widzów, ma dach nad sceną i unikalną jeszcze w kraju aparaturę nagłaśniającą firmy „Dynamord” Szkoła tylko, że deszcze i u nas leją często.

Zakłady Wytwórcze Magnetofonów w Lubartowie obiecują, że na początku przyszłego roku spotkamy w sklepach sprawną radiomagnetofony monofoniczne „Party”, a kilka miesięcy później — radiomagnetofony stereofoniczne, produkowane w kooperacji z czechosłowacką „Teslą”.

Spółdzielnia plastyków „Art” w Lublinie zamierza uruchomić nową galerię sztuki „Akcent”. Przy okazji: wyrażamy przekonanie, że znana w kraju i w niektórych środowiskach europejskich galeria „Labyrinth” w pełni zasługuje na otrzymanie obiecanych jej pomieszczeń, łącznie z małym wirydarzem LDK.

Nad rozwojem telekomunikacji światłowodowej zastanawiano się w Lublinie podczas sesji plenarnej Sekcji Telekomunikacji Komitetu Elektroniki i Telekomunikacji PAN, co odnotowujemy z myślą o tyjących osobach czekających na zainstalowanie w ich domach telefonów

JEZELI to, co powiedziano na Nadzwyczajnym Zjeździe Delegatów Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, stanie się ciałem, gazety będą rozchwytywane nie tyle z powodu niskich nakładów, co z wiary we wskrzeszającą moc słowa.

Blisko 400 delegatów z całego kraju zebrało się w dniach od 29 do 31 października w Warszawie po to, żeby dla jasniejszej przyszłości spojrzeć wstecz i nareszcie wyciągnąć praktyczne wnioski. Gorzkie słowa były potrzebne, choć budziły sprzeciw tych, którzy niewiele jeszcze zrozumieli ze zmian wywołanych strajkami. A była najwyższa pora porozmawiać o długim zaciągniętym u robotników, o długu właściwie przez nich narzuconym.

Dlatego generalna debata toczyła się wokół stosunku dziennikarzy do władzy i moralnych konsekwencji interpretowania rzeczywistości w myśl wytycznych. Rozdwojenie życia społeczno-politycznego na warstwę dopuszczalną do publikacji i coraz szersze dziedziny skazane na przemilczanie — między innymi doprowadziło do protestu robotników, dzięki którym przemówili także dziennikarze. Ta kolejność wymagała rozliczenia, nie tylko w formie udzielenia (bądź nie) absolutorium dla ustępującego Zarządu Głównego SDP. W rezultacie Zjazd przegłosował absolutorium warunkowe (z którego członkowie ZG SDP mogli wziąć sobie tyle, ile zrobili dla wiarygodności zawodu dziennikarza) i jednoznacznie wypowiedział się w sprawach publicznych.

Ogromna ilość napięć, jakich byliśmy i nadal jesteśmy świadkami — powiedział nowo wybrany prezes SDP, Stefan Bratkowski — bierze się z niezrozumienia o co chodzi w redagowaniu gazet. Czy masowe środki przekazu mają być środkami przykazu, czy społecznej komunikacji? A przecież powinniśmy traktować obsługę prasową systemu i społeczeństwa jako całość, nie zaś wyłącznie jako zaspokajanie potrzeb aparatu partyjnego. Zahamowanie obiegu informacji jest niebezpieczeństwem dla systemu, dla którego dobra dziennikarza nie powinni czuć się pracownikami propagandy, powinni mówić we własnym imieniu.

Na zachwianie spokoju społecznego z braku dostatecznej informacji zwrócił również uwagę Wojciech Adamiecki z „Literatury”, który na Wybrzeżu był świadkiem konse-

wencji zatknięcia kanałów informacyjnych. A jednak stało się od sierpnia rzeczywistością to, co kłopotliwa propaganda mówiła latami o poczuciu współodpowiedzialności. Obudziły się społeczne nadzieje, że współodpowiedzialność będzie realna. Zle zapisze się w pamięci narodu ta władza — podkreślił na koniec Wojciech Adamiecki — która usmierciła te nadzieje.

W lipcu i sierpniu Polska była

wał Wojciech Giełżyński z „Kontynentów”. — Czas skończyć z dziennikarstwem do brudnej roboty, ale też nie wierzmy zbyt radośnie, że akty normalizacyjne nowego statutu zmienią nam życie. To my musimy je zmienić!

Wzmacniajmy te siły w partii, które spokojnie dają do przemyślenia — w tym samym duchu przemawiał Maciej Ilowiecki z „Polityki” cytując Gombrowicza: — „Dziś nie

starczy wpisać sobie do statutu prawo do odmowy wykonania polecenia niezgodnego z sumieniem. Trzeba to sumienie mieć i go słuchać. Dziennikarze są z zacięciem, a nie armią najemną, więc SDP powinno pamiętać, że nie stanie się partnerem władzy, jeśli będzie brało profity za cenę własnych poglądów.

Nadzwyczajny Zjazd Delegatów SDP obradował w sytuacji, gdy społeczeństwo uchwyciło regularność zmian ekip rządzących i następujących po nich analiz. A więc nie ludzie, ale organizacja władzy nie jest dostosowana do ustroju, który w krytycznych momentach był narażony na biurokracizm. Wnioski o konieczności demokratycznych przeobrażeń w samej partii przewijały się równie często, jak postulaty o niepokorności dziennikarzy, którzy powinni krytykować nie zjawiska, ale nareszcie ich przyczyny. Dotąd dziennikarze nie zdradzali się, że myśla samodzielnie, uprawiali krytykanczostwo i podszytywanie, gdyż nie mieli wpływu na to, co się działo. Teraz — dzięki porozumieniu z Gdańską, Szczecińską i Jastrzębską — mogą stanąć na starcie do procesów odnowy, pamiętając jednak z niedawnej przeszłości, że brak odwagi cywilnej jest naganny, a tym bardziej uprawiana przez niektórych nadgorliwość...

Nieraz, w celach dydaktycznych dla młodych adeptów dziennikarstwa, kojarzono ten zawód z charakterem. Ostatnie lata, a zwłaszcza lipiec i sierpień, były sprawdzianem dla wszystkich dziennikarzy. I chyba wszyscy powinni skorystanie z warunkowego absolutorium...

Jednak tak jak na Zjeździe nie były najważniejsze rozliczenia — tak i środowisko lubelskich dziennikarzy tylko po to powinno zrobić rachunek sumienia, by mieć jasność, w jakim stopniu potrafi nie zafałszować odnowy. Kto i kiedy nie napisze pierwszej półprawdy, zastępczej interpretacji, nie mówiąc o drańskim kłamstwie. Oczywiście, nowy statut twórczo-zawodowego SDP, dający duże uprawnienia komisji interwencyjnej i sądowi dziennikarskiemu, z radą stowarzyszenia niejako powołaną do nadzorowania zarządu, a także ustawa o cenzurze i ustawa prasowa — będą dużym wsparciem dla dziennikarzy. Ale trzeba też sprawiedliwych, którzy skorzystają z tych dobrodziejstw.

W obronie prawdy

Anna Bocian

zjednoczona, a partia zdziwiła się, że jest taka robotnicza — mówił Piotr Załuski z wrocławskiej TV. — Tylko demokratyzacja życia wewnątrzpartyjnego przyniesie jawność, która uchroni przed późniejszym szokiem. Nie może być różnych kręgów wtajemniczenia w ustroju socjalistycznym. Dziennikarze powinni upomnieć się o pełną historię, o kulturę żywych i umarłych, o zlikwidowanie stref prohibicyjnych w życiu naszego kraju. Mammy zagwarantowane konstytucyjne prawo do wolności, więc korzystajmy z niej. Dbajmy też o uczciwy język, pamiętając, że jest on odbiciem myślenia, że prawda nie wymaga dworskiego przyozdabiania i osłonek.

Nie wolno nam gwałcić politycznej świadomości Polaków — apelo-

rozwiążemy węzłów gordyjskich intelektem. Musimy przeciąć je swoim życiem”. W tych chorych czasach większość społeczeństwa pozostała zdrowa, mimo wszystko więc, co jest dobre, a co złe. Zdrowy sąd trzeba więc zachować na zawsze, nie brać udziału ani w nieprawości, ani w milczeniu.

Przemawiający dziennikarze ustosunkowywali się do dyżurnych awangardzistów, z jednakową świadomością komentujących rok 1956, 1968 i rok obecny. Przygnębienie z powodu ich występów w telewizji, gdzie w zależności od okoliczności nazywali robotników chuliganami, a ostatnio tłumkiem — powinniśmy pohamować na korzyść wyrobienia w sobie nakazu odpowiadzi, aby społeczeństwo wiedziało, że wbrew pozorom „nowe nie idzie”. Nie wy-

waniem z wyprowadznych w ten sposób przesłanek.

W roku 1914 dr Max Kemmerich opracował metodę przewidywania przyszłości historycznej, opartą na zasadzie paralelizmu wewnętrznego i zewnętrznego. Wychodził on z założenia, że historia powtarza się, że wydarzenia o istotnym znaczeniu są niejako zdeteminowane a priori.

W oparciu o swoją metodę dr Kemmerich przedstawił w roku 1921 obraz przyszłości Niemiec, pisząc (przekład Ludwika Szczepańskiego):

Nasza rewolucja zaczęła się w roku 1918. Zakończenie jej przypadnie na lata 1930 i 1944, tzn. odąd dopiero zacznie się okres niemieckiej restauracji. [...] Podobnie jak angielska rewolucja wzięła swój początek w Edynburgu, stolicy Szkocji, tak niemiecka zacznie się w Monachium, gdyż historia Bawarii wykazuje znamienne analogie z historią Szkocji, podobnie jak Czechy z Irlandią.

Analogia z poprzednimi rewolucjami także przewidywał z całą pewnością, że ze startu lewicowo-radykalnego w rewolucjach zwycięża zawsze radykalizm, zmieniający jedynie swój kierunek, gdyż kompromisami nie zagrzewa się mas) wyjdzie nowy Cromwell lub Napoleon, który wyprowadzi Niemcy na najwyższe szczyty potęgi. Nowy Cromwell wyjdzie z partii lewicowo-radykalnej i pod pretekstem wykonywania woli mas rzuci się w wir walki. Z nieomylnym instynktem wyczuje on bieg lawiny i w momencie, gdy ona się oderwie, stanie na czele owej lawiny, rzucając w tłumy hasło „Za mną! Ja was poprowadzę!”.

Znauca historii jednakże będzie rozumiał, że człowiek ten bynajmniej nie prowadzi, lecz tylko jest wykonawcą instynktu mas, które mając dość anarchii, będą teraz żądać porządku i autorytetu. Tłumy będą z dumą spoglądały na nowego Cromwella, który je silnie będzie w ryzach trzymał, niż kiedykolwiek najsamowładniejszy monarcha. A każdy za-

miatacz ulic ze łzami w oczach będzie szepotał do swego kolegi: „On wyszedł z naszego środowiska i wszystko, co czyni, to czyni dla nas”. Nie trzeba zapewniać, że wynikiem tej wielkiej naszej rewolucji będzie wprowadzenie znik wielkich majątków, lecz bynajmniej nie emancypacja klasy robotniczej. Podobnie jak Napoleon zadziwiał się szybko z jakobina stał się cesarzem, tak i nasz nowy Cromwell przejdzie analogiczną przemianę. [...]

Okolo roku 1936 stworzy nowy Cromwell dyktaturę wojskową. [...] Pewnym jest, że stoimy dopiero na początku naszej wielkiej rewolucji. Pewnym dalej jest, że mimo niej, lub może właśnie dzięki niej, najpóźniej za lat 20 będziemy najpotężniejszym narodem Europy. [...] Równolegle z wojnami wewnętrznymi będziemy prowadzić wojny z sąsiadami i to zwycięskie, gdyż naród w swoim okresie mutacyjnym wyrzucił zawsze z siebie olbrzymią siłę ekspansyjną. Mocarstwa zachodnie nie odważą się stanąć na drodze naszej ekspansji. Traktat wersalski zostanie przekreślony. Koniec tego okresu, a może już i wcześniej, to Niemcy jako potęga Europy, silniejsze, bogatsze i większe niż kiedykolwiek od czasów cesarza salickich.

Jednocześnie — obok trafnego, jak sądzę, zarysu kształtowania się stosunków w Niemczech i charakterystyki wodza — Kemmerich podaje wszak cały szereg mylnych przewidywań. Prorokował on między innymi objęcie władzy w Rosji w roku 1923 przez nowego cara z domu Romanowych, nieu na próbę restauracji Hohenzollernów w Niemczech ze straceniem ostatniego monarchy w roku 1925 itd. W Polsce natomiast przewidywał Kemmerich ustanowienie monarchii!

Ciekawe, że, jak sam pisał, do badania spraw proroczych zabrał się „ako zdecydowany sceptyk i historyk kultury, zaś w toku tych studiów stał się ich gorącym zwolennikiem.

TAJEMNICE LUDZKIEJ NATURY (9)

Proroctwa

Aleksander Mora

NIE tylko w przypadku Nostradamusa, lecz także w innych wypadkach fakty jasnowidzenia w przestrzeni i czasie zostały stwierdzone ponad wszelką wątpliwość. Są to fakty raczej rzadkie, ale jednak fakty.

Joachim Jerzy Retyk, lekarz i astrolog Zygmunta Augusta, ogłosił w roku 1572 (data śmierci ostatniego z Jagiellonów) „Przepowiednię o siedmiu królach”, w której zawartych było kilka wizji proroczych, dotyczących następców zmarłego króla. Astrolog przepowiada: Pierwszy będzie Francuzem, który wkroczy z wielkim niebezpieczeństwem, wkrótce potem ucieknie i wnet nastąpią różne spory. O Henryku Walezym ogłosił zresztą osobne Judicium na prima aprilis 1573 roku, w którym między innymi pisze: Pytanie, czy długo potrafi panowanie tego władcy i czy rządy innego nie będą lepsze. O Sobieskim mówi: Wrogów Kościoła wytopi [...] Turków wzgromi i wytraci.

Niekiedy wielcy poeci miewali w swej twórczości wizje prorocze. Spełniło się proroctwo Juliusza Słowackiego zawarte w jednym z jego ostatnich utworów:

Pośród niesnasków Pan Bóg uderza
W ogromny dzwon.
Dla słowiańskiego oto Papieża
Otwarty tron.

A czyż nie brzmią wprost wstrząsająco słowa Adama Mickiewicza:

Gęby za lud krzyczące sam lud
w końcu znużą,
I twarze lud bawiące na końcu lud
znużą.
Rece za lud walczące sam lud poobcina,
Imion miłych ludowi ludu pozapomina.
Wszystko przejdzie. Po huku,
po szumie, po trudzie
Wzmq dziedzictwo cisi, ciemni, mali
ludzie.

Wśród wielu innych proroctw, popularnych w XIX i na początku XX wieku, godne uwagi wydają się przepowiednie Franciszkanina, które pono pochodzą z roku 1840, lecz ogłoszone zostały w całości dopiero w roku 1906, w Krakowie, w zbiorze Chociszewskiego pt. „Księga sybilliska o przyszłości”.

Franciszkanin ów przepowiedział między innymi, że: Rosja będzie widownią wielkich okrucieństw, tu będą straszliwe walki. Łeczne miasta i wieś zostaną zburzone. Krwawa rewolucja wytopi ogromną liczbę mieszkańców. Cesarza rodzina, szlachta i część duchowieństwa zginie. W Petersburgu i Moskwie będą leżały trupy przez długi czas na ulicach nie pochowane. [...] Polska będzie samodzielną.

Szereg wątpliwości powstaje wówczas, kiedy zaczynamy się zastanawiać, czy można jako proroctwa traktować próby przewidywania wypadków historycznych na podstawie jakiejś metody, posługującej się obserwowanymi w historii prawidłowościami, a następnie logicznym wniosko-